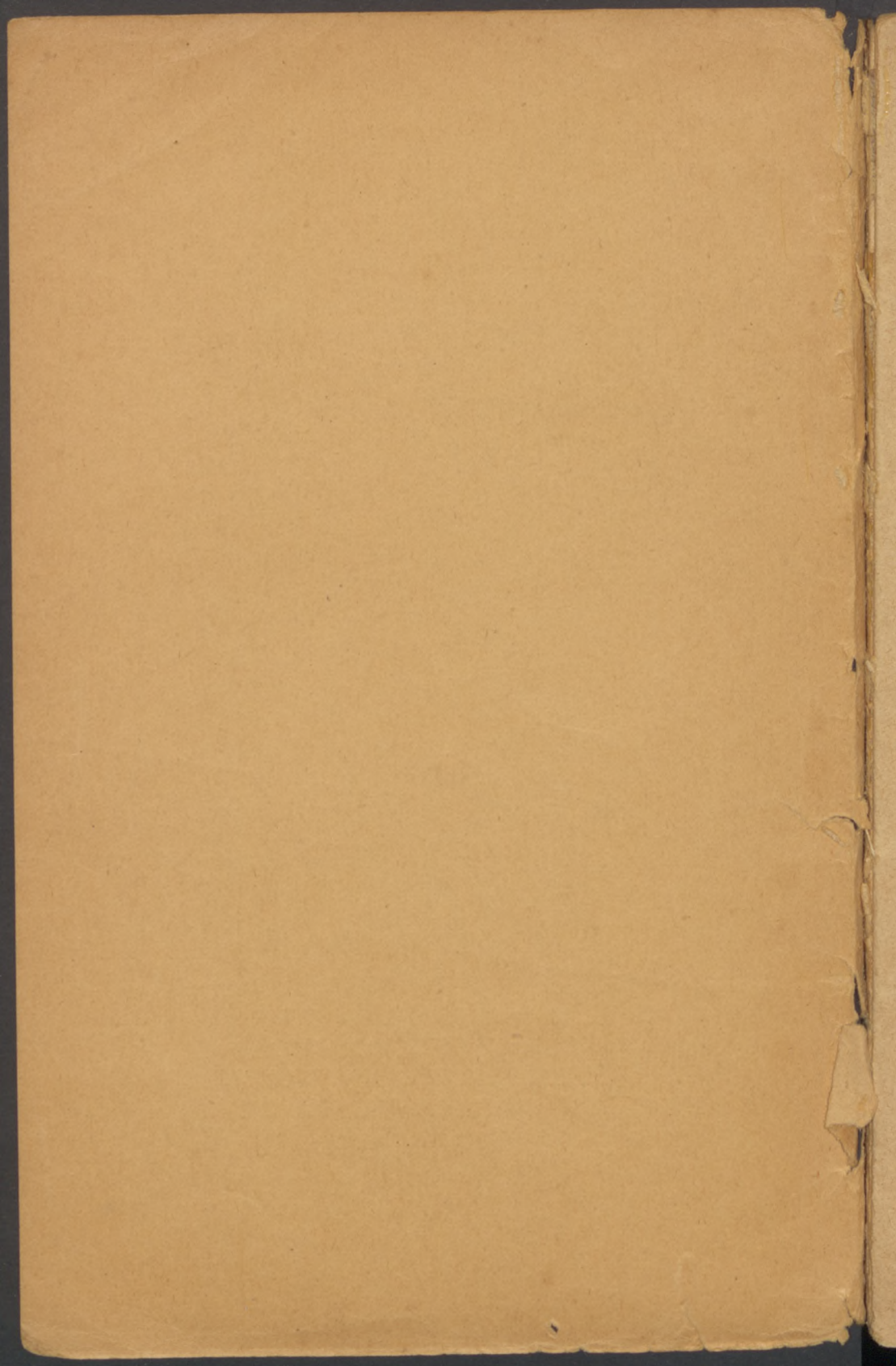


**Kazanie, odczyty, komedyjki,
inscenizacje, monologi,
wierszyki i piosenki
na tematy oszczędnościowe**



NAKŁADEM CENTRALNEGO BIURA
PROPAGANDY OSZCZĘDNOŚCI
PRZY RADZIE POROZUMIEWAWCZEJ
ZWIĄZKÓW POLSKICH WE FRANCJI

PARYŻ 1937



**Kazanie, odczyty, komedyjki,
inscenizacje, monologi,
wierszyki i piosenki
na tematy oszczędnościowe**



NAKŁADEM CENTRALNEGO BIURA
PROPAGANDY OSZCZĘDNOŚCI
PRZY RADZIE POROZUMIEWAWCZEJ
ZWIĄZKÓW POLSKICH WE FRANCJI

PARYŻ 1937

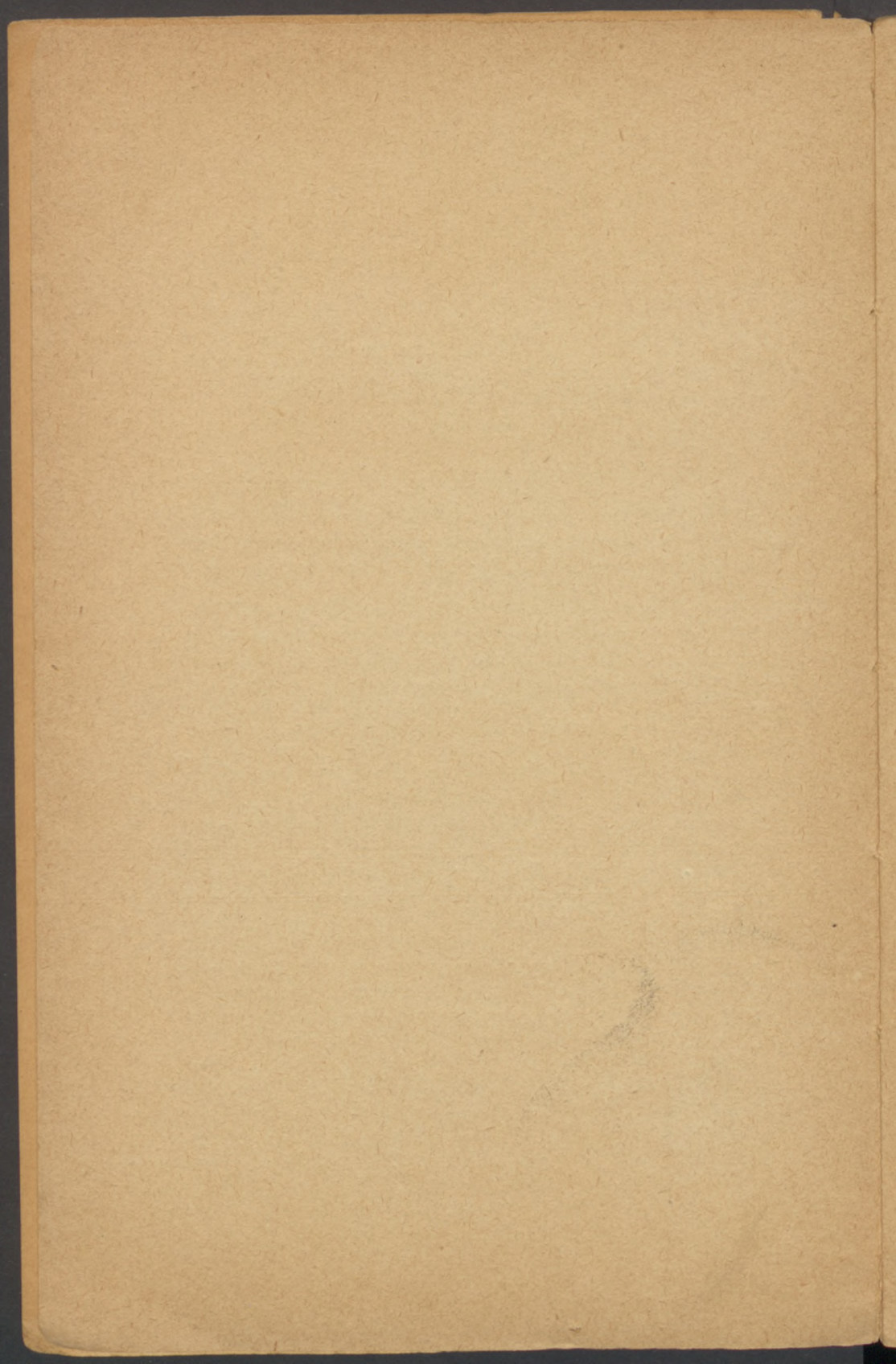
BIBLIOTEKA
UNIwersytecka
w Toruniu

1393372

WSTĘP

Ponieważ zwyczaj urządzania Świąt Oszczędności przyjął się na wychodźstwie polskim we Francji powszechnie, uważaliśmy za potrzebne dostarczenie organizatorom tych uroczystości materiałów w postaci kazania, odczytów, komedijek, monologów, inscenizacji, wierszyków, piosenek i wzorów napisów propagandowych — na tematy oszczędnościowe. Tem chętniej to czynimy, że większość zawartych w tem wydawnictwie artykułów i utworów są pióra naszych nauczycieli i nauczycielek, a nawet robotników polskich we Francji.

Centralne Biuro Propagandy Oszczędności
przy Radzie Porozumiewawczej
Związków Polskich we Francji.



ROZDZIAŁ I.

ODCZYTY OSZCZĘDNOŚCIOWE

(do użytku prelegentów i mówców na uroczystościach oszczędnościowych)

«Oszczędność jest cnotą narodów, albowiem daje im niesłychaną siłę. Naród francuski, wśród którego nam żyć wypadło, zawdzięcza tej zalecie swego charakteru odporność swego organizmu narodowego na olbrzymi wstrząs, spowodowany wojną.

Oszczędność dla narodu jest tem, co zdrowe życie dla człowieka. Tak jak choroba nie daje sobie rady z ciałem wygimnastykowanym, zahartowanym sportami, a zwłaszcza życiem umiarkowanym i uregulowanym, tak samo choroby społeczne i polityczne nie mogą zmóc organizmu państwowego, który wyrobił sobie odporność na wstrząsy w postaci oszczędności.

Tak jak zapasy zdrowia i sił, które nagromadzone w organizmie życiem uporządkowanym i higienicznym zużytkowane są przez nas w chwili krytycznej dla odparcia ataku chorób i zgrzytów wszelakich, — nagromadzone przez społeczeństwo oszczędności służą narodowi i państwu dla odparcia kryzysu i przewrotów.

Naród francuski daje nam przykład tej wielkiej cnoty charakteru. Każdy Francuz posiada swą książeczkę oszczędnościową, a przynajmniej ją posiadał, albowiem zwyczajem tu jest ofiarowanie nowonarodzonemu dziecku książeczki Kasy Oszczędnościowej.

Różne są formy oszczędności.

Amerykane praktykują, na przykład, ubezpieczenie.

Co drugi człowiek jest tam ubezpieczony na wypadek śmierci lub na dożywocie.

Ale najwyższą formą oszczędności, którą przyjęli Francuzi, jest bezwarunkowo książeczka oszczędnościowa.

Jest ona najdoskonalszą formą oszczędności dlatego, że jednocześnie kształci charakter, albowiem trudniej jest odkładać dobrowolnie i systematycznie, niż opłacać przymusową składkę ubezpieczeniową — i dlatego też, że przyzwyczajają do skromnego życia. Zresztą jedno nie przeszkadza drugiemu i można być jednocześnie posiadaczem książeczki oszczędnościowej i polisy ubezpieczeniowej.

Jeżeli dla każdego obywatela oszczędzanie jest przykazaniem rozumnego życia i dowodem z jego strony przewidywania, czem się człowiek zasadniczo różni od zwierzęcia, dla emigranta, który się oderwał od swego społeczeństwa, a nie przystał jeszcze do innego, jest absolutną koniecznością.

Musi się bowiem emigrant przygotować na przechodzenie wielokrotnie cięższych przeżyć, niż te, które są udziałem jego ziomków w kraju rodzinnym. Choroba, utrata pracy, lub inne nieszczęścia losowe wymagać tu będą z jego strony znacznie większego wysiłku i o wiele wyższych ofiar dla zwalczania przeciwności życiowych.

W kraju dopomoże rodzina, a wreszcie gmina lub państwo. W kraju łatwiej jest dochodzić sprawiedliwości. Na obczyźnie emigrant oddalony jest o sto mil od swoich najbliższych, a gmina i Państwo tutejsze traktują go często jak intruza, tembardziej, że trudno mu jest nieraz wytłumaczyć swoje pretensje i domagać się tego, co mu się na podstawie konwencji polsko-francuskiej i prawodawstwa francuskiego, słusznie należy.

Ale jest jeszcze i inny wzgląd, który nakazuje emigrantowi bezwzględne praktykowanie oszczędności.

Czem jest właściwie emigrant, jak nie pionierem, poszukującym lepszych warunków życia i nie obawiającym się trudów, a nawet narażającym się na niebezpieczeństwo, które często towarzyszy tułaczce po obcej ziemi. Czemże — jak nie poszukiwaczem takich warunków, w których mógłby rozwinąć wszystkie zdolności swoje i dojść do tych rezultatów, jakichby nie mógł osiągnąć w kraju.

We Francji, naprzykład, przy pomocy oszczędności można

zostać osadnikiem na warunkach takich, o których nie śniłoby się bezwzględnie w Polsce, a to z dwóch powodów.

Po pierwsze dlatego, że Francja jest krajem ludzi oszczędnych, którzy mogą zaawansować osadnikom polskim kapitały w postaci zabudowań, inwentarza żywego i martwego, nasion i t. p. Po drugie dlatego, że w kraju tym ludzi zamożnych jest dużo, ale amatorów do uprawy roli mało, — a więc dużo jest gospodarstw do nabycia lub wydzierżawienia na doskonałych warunkach i dla człowieka, który chce i może pracować, a ma do pomocy chłopaka lub dziewczynę, to prawie złote runo.

Mamy już we Francji dwa tysiące polskich gospodarstw rolnych, administrowanych przez osadników, którzy oszczędzali, a dziś są na drodze do zamożności.

Ale nawet bez osiadania na roli, oszczędność pozwoli emigrantowi polskiemu we Francji polepszyć w wysokim stopniu swój byt. Kto ma zdolności kupieckie i zamiłowanie do przedsiębiorczości, ten buduje sobie sklep, kawiarnię, lub warsztat rzemieślniczy i zostaje, nie porzucając nawet pracy w fabryce, czy górnictwie, kupcem, wytwórcą lub ogrodnikiem, dorabiając w wolnych chwilach, albo przy pomocy rodziny wypróbując ten dodatkowy zawód, zanim mu się poświęci całkowicie. Ileż to mamy już takich górników, którzy pokupowali domki, lub wydzierżawili kawałek ogrodu, ażeby założyć warsztat rzemieślniczy lub gospodarstwo ogrodnicze.

Wreszcie w życiu wogóle, a w życiu narodu tak zamożnego, jak Francuzi, w szczególności, zdarza się niejednokrotnie okazja taka czy owa, ale często wyjątkowo korzystna, dla człowieka rozporządzającego choćby niewielką ilością gotówki. Emigrant polski żyć powinien z myślą: że taka okazja może mu się przytrafić, i że musi w każdej chwili być gotów, ażeby z niej skorzystać.

A nie mówimy już o tych, którzy się przenieśli do interesu, i dla których kwestja obrotowego kapitału jest kwestją życia, lub śmierci, albowiem nie tak nie podlega wahaniom koniunkturalnym, jak ceny produktów, i trzeba być przygotowanym na wszystkiego rodzaju niespodzianki, by móc przeczekać okres zastoju, a przede wszystkim przystosować się do nowych warunków podaży i popytu.

Oto dlatego emigracja polska musi dbać o to, ażeby od-

łożoną gotówkę nowymi oszczędnościami stale uzupełniać.

Oszczędzać, to działać we własnym, dobrze zrozumiałym interesie. Ale oszczędnością i pracą nie tylko ludzie się bogacą, ale i narody. A oszczędnościami każdego z emigrantów polskich we Francji wzbogaci się cała emigracja polska we Francji.

Zaraz to wytłumaczmy. Robotnik polski, składający swój ciężką pracą uciulany grosz do Banku P.K.O., doprowadzi do tego, że w kasie tego Banku zgromadzą się setki milionów franków, których użyć będzie można dla dobra wychodźstwa w sposób zupełnie pewny, bez ryzyka dla właścicieli wkładów, a jednak dostarczając wychodźcom taniego kredytu, bez którego niemożliwym jest rozwinięcie przedsiębiorczości, czy to na polu osadniczym, czy na polu kupieckim, czy wreszcie na polu rzemieślniczym.

Ileż to jest takich rolników, kupców, czy przemysłowców polskich we Francji, którym brak jest dla pomyślnego rozwoju gospodarki taniego kredytu. Ci rolnicy, kupcy, czy przemysłowcy dają przecież wszelkie gwarancje wypłacalności, a nie mogą zaciągnąć pożyczki jedynie z tego powodu, że są cudzoziemcami. Kapitały polskich emigrantów przyczynią się, bez żadnego ryzyka dla ich właścicieli, do dopomożenia tym wszystkim współrodakom w osiągnięciu pomyślnych rezultatów gospodarczych i we wzbogaceniu się.

I w imię więc solidarności społecznej należy oszczędzać i składać pieniądze do Banku P.K.O., który ma stworzyć w najbliższej przyszłości dostępną dla wychodźstwa polskiego we Francji formę taniego kredytu.

Oto są te prawdy, które dobrze jest sobie upamiętnić w dniu poświęconym oszczędności.

Emigracja polska we Francji ma już za sobą wspaniały dorobek roboty społecznej. Niechże więc i na polu ekonomicznym zbiorowy wysiłek emigracji zostanie uwieńczony rezultatem.

Niedość jednak oszczędzać, trzeba jeszcze oszczędności zabezpieczyć przed zgubą, kradzieżą lub pożarem, trzeba wreszcie, ażeby pieniądze nie leżały bezczynnie lecz procentowały.

Nie należy więc oszczędności przechowywać w domu. Ileż to bowiem razy złodzieje, pożar lub niewaga stawały się

przyczyną utraty z takim trudem odłożonego grosza.

Ten schował w lecie pieniądze w kominku, a ktoś z domowników postanowił akurat spalić stare papiery i spalił jednocześnie banknoty.

Tamten schował pieniądze w komodzie, a dzieci, bawiąc się, znalazły je i podały na drobne kawałki.

Ów znowu ukrył banknoty w łóżku. Złodzieje wtajemniczeni w sprawy domowe, znaleźli je bez trudu.

Oddając pieniądze do przechowania należy jednak pamiętać, że tylko bardzo solidne przedsiębiorstwa bankowe dają gwarancję bezpieczeństwa, ale zato płacą bardzo niewielkie odsetki.

Jedynie specjalnie przez Państwo stworzone instytucje oszczędnościowe, jak Poczтовая Kasa Oszczędności, daje i jedno i drugie, to jest i bezpieczeństwo i stosunkowo wysokie oprocentowanie.

We Francji istnieje w tym celu tak zwana «Caisse d'Épargne», a Polska Kasa Oszczędnościowa założyła nadto we Francji specjalną instytucję Bank P.K.O.

Jest rzeczą oczywistą, że wychodźca polski powinien oszczędności swe składać do P.K.O., albowiem łatwiej mu jest zafatwiać formalności w języku polskim niż po francusku.

Specjalnie natomiast należy się wystrzegać wszelkiego rodzaju niepewnych kantorów i banczków, z których tyle już pobankrutowało, zabierając łatwowiernym robotnikom wszystko to, co ci krwawą odłożyli pracą.

Ileż to milionów zostało w ten sposób skradzionych wychodźtwa polskiemu we Francji!

Przestrzegamy was wreszcie przed najnowszą formą oszustwa, stosowanego obecnie na wysoką skalę. Jest nią wymianie pieniędzy przez nieznaną nikomu, a uwijających się w okolicach dworców kolejowych osobników. Sprzedają oni rzekome dolary, które są albo fałszywymi, albo zdeprecjonowanymi walutami cudzoziemskimi, jak drachma czy dawna marka niemiecka. Zazwyczaj w paczce takich dolarów jest kilka dobrych, które noszą jako dowód do wymiany, a reszta fałszywych.

Nie możemy wymienić wszystkich niebezpieczeństw, jakie czyhają na oszczędności robotnika polskiego.

Ażeby zabezpieczyć się przed nimi, winien emigrant pol-

ski składać swe oszczędności do «Caisse d'Epargne» lub do Banku P.K.O. Pierwszeństwo ma jednak Bank P.K.O., albowiem składanie do P.K.O. oszczędności jest nietylko dobrze zrozumianym interesem każdego Polaka na obczyźnie ale także, jak to poprzednio wytłumaczyliśmy — obowiązkiem społecznym i narodowym».

**

Dnia 31 października 1924 r., ostatniego dnia obrad I-go Międzynarodowego Kongresu Oszczędnościowego w Medjolanie przedstawiciele przeszło 7.000 instytucyj oszczędnościowych 27-miu państw uchwalili święcić rok rocznie, «Dzień Oszczędności». Tak więc i wychództwo polskie we Francji obchodzi w miesiącu listopadzie święto oszczędności.

Oszczędność! Wielkie słowo i jak często powtarzane wokoło. Ze wszystkich stron się słyzy: «Oszczędzaj, oszczędzajmy, oszczędzajcie!»

Czemże więc jest ta oszczędność?

Oszczędność, to nic innego, jak umiejętne używanie pieniędzy, ubrania, zeszytów, wszystkich przedmiotów, które nas otaczają — szanowanie zdrowia, czasu pracy własnej i cudzej.

Oszczędność, to wstrzymywanie się od zbytecznych wydatków w imię przyszłych potrzeb.

«Nie wydam dziś na kino, jutro na słodycze, za rok pojedę na wycieczkę. Zrezygnuję z wycieczki, z jednej, drugiej przyjemności, będę mógł po skończeniu szkoły wejść w nowe, nieznanne życie samodzielnie, mając do dyspozycji swój własny, kosztem wielu wyrzeczeń, uciulany kapitał».

Im kto mądrzej patrzy na życie, tym mądrzej będzie szeregował swoje potrzeby, tym poważniejszy postawi sobie cel, dla którego będzie oszczędzał.

Spójrzmy tylko uważnie wokoło! Zobaczymy tak w świecie roślinnym, jak zwierzęcym silny pęd do oszczędzania i to oszczędzania, któremu przyświeca cel poważny, bo gromadzenie zapasów na przyszłość.

Czyż człowiek — istota rozumna — może postępować mniej mądrze, niż zwierzęta, czy rośliny? Nie, powinien oszczędzać, traktując tę sprawę poważnie, a pozatem powinien sobie dobrze zdawać sprawę z korzyści i znaczenia oszczędzania.

Korzyści, których źródłem jest oszczędność, są natury moralnej i materialnej.

Oszczędzanie to szkoła, wyrabiająca rozumne spojrzenie na świat i kształcąca charakter.

Zebrałe i złożone w Banku P.K.O. oszczędności — to spokojne jutro, rezerwa, z której możemy czerpać w razie koniecznej, a nieprzewidzianej nieraz potrzeby, kapitał.

Prócz znaczenia indywidualnego, oszczędzanie posiada ogromne znaczenie natury społecznej. Dopóki pieniądź leży w domu jest narażony na różne niebezpieczeństwa, jak pożar, kradzież, zniszczenie i nie przynosi zysku ani właścicielowi, ani społeczeństwu. Ten sam pieniądź, oddany do Banku P. K. O., tworzy razem z innymi olbrzymie kapitały, które puszczane dalej w ruch wypracowują właścicielowi zysk — odsetki i zasilają kredytem różne dziedziny życia gospodarczego. Dzięki temu ożywia się przemysł, rolnictwo, handel, tysiące rąk robotniczych dostaje pracę, zarabia, a Państwo staje się coraz bogatsze.

Bogactwo narodu nie powstaje z dnia na dzień — tworzy go w ciągu wielu, wielu lat praca i oszczędność jego obywateli. Niema dziś w świecie cywilizowanym państwa, któreby nie starało się w myśl tej idei krzewić wśród swych obywateli, a zwłaszcza wśród młodzieży, poczucia potrzeby i konieczności oszczędzania.

Kto składa swe oszczędności w Banku P.K.O. może być spokojny o ich całość. Bank P.K.O., jako instytucja państwowa, posiada gwarancję państwa, pozatem majątek jego o wiele przewyższa sumę złożonych wkładów oszczędnościowych.

Obracając ostrożnie powierzonymi oszczędnościami, Bank P.K.O. zapewnia ich posiadaczom godziwy procent.

Dbą on o każdego swego klienta, ale bodaj najbardziej dba o młodzież.

Bank P.K.O. pamięta o tem, że przyszłość narodu spoczywa w rękach młodzieży i służąc jej wszelkimi wskazówkami i materiałem pomocniczym nie wątpi, że niedługo nadejdzie dzień, w którym będzie można zaliczyć Polskę do jednego z najoszczędniejszych narodów świata. Młodzi nie mogą zawieść tych nadziei.

**

W roku ubiegłym zapoczątkowany został na Emigracji Polskiej we Francji prześliczny zwyczaj urządzania w kolonjach w miesiącu listopadzie względnie w pobliżu tego miesiąca, wielkich uroczystości, wielkich Akademji, które nazwa-
liśmy Obchodami Dnia Oszczędności.

Pragnąłbym do tego pięknego miana dodać jeszcze jeden przymiotnik i nazwać obchód Dnia Oszczędności dniem oszczę-
dności polskiej. W ten sposób bowiem zmanifestujemy wagę, jaką przywiązujemy do tych uroczystości, a także i nadzieje, jakie wiążemy z wprowadzeniem w życie hasła, które głosić będziemy na obchodach.

Jeżeli przed powstaniem Niepodległego Państwa Polskiego, przed r. 1918, najświętszym hasłem, największą ideą przewodnią wszystkich polskich ugrupowań społecznych była NIEPODLEGŁOŚĆ, to obecnie, kiedy już mamy państwo polskie, niepodległe i z każdym rokiem potężniejsze, najświętszym hasłem naszym powinna być zdrowa i rozumna metoda życia.

Rozpoczął się, jak to nam powiedział Marszałek Piłsudski, pomiędzy narodami szlachetny, ale i gwałtowny wyścig pracy.

W tem współzawodnictwie zachowamy należne nam miejsce i wzniesiemy wysoko sztandar idei naszego polskiego posłannictwa na świecie, jeżeli potrafiemy zorganizować nasze życie domowe na zasadach zdrowych i rozumnych.

A ponieważ *Oszczędność* to jest metoda życia, a nie nic innego, przeto obowiązkiem każdego Polaka jest przede-
wszystkiem głęboką tę ideę zrozumieć, a w następstwie stosować ją w praktyce na każdym kroku.

Może ktoś z tych, którzy coś niecoś słyszeli o oszczędności a piąte przez dziesiąte tylko zrozumieli na czem ta idea wielka polega, wystąpi z zarzutem, że chwilę wybieramy dla uczte-
ni oszczędności nieodpowiednią, albowiem właśnie niedawno tutaj we Francji, a także i w innych krajach, ludzie, którzy oszczędzali, potracili w momencie dewaluacji pewną część ich majątku, o ile obliczać będziemy oszczędności na ich wartość w sile nabywczej pieniądza. Tym skorym do krytyki osobnikom odpowiemy poprostu, że każda dewaluacja jest ciężką b. operacją gospodarczą, której koszta ponosi cały

naród, a przede wszystkim ci, którzy należą do ludzi ciężkiej pracy. — Że jednakowoż, kiedy raz minie już ta tragiczna chwila operacji, życie z powrotem powraca do normalnego stanu i rozwija się podług tych samych naturalnych praw, które niem rządzą. A naturalnie to prawo wymaga od każdego człowieka, aby nie zaspakajał wszystkich swoich potrzeb ale ustalił pod tym względem numeryczny tych potrzeb porządek i, panując nad swoimi instynktami, przewodząc swoim zachciankom, umiał patrzeć w przyszłość i przede wszystkim dbać o to, aby największa i najświętsza potrzeba każdego człowieka — wolność — była zaspokojona.

A cóż może dać wolność, jak nie zabezpieczenie sobie przyszłości, i tej bezpośredniej, która już jutro nastąpi, i tej dalszej, której kontury niewyraźnie zaledwie dopiero dostrzegamy.

Najważniejszą więc stroną oszczędności jest takie gospodarowanie swoim domowym budżetem, swoją domową ekonomją, ażeby najświętsza potrzeba każdego człowieka, potrzeba Nr. 1 (wolność), została zaspokojona.

Ale idea oszczędności ma też i inne strony, które należy rozumieć i w czyn wprowadzać. Przy zaspakajaniu codziennych potrzeb życia ludzkiego, trzeba stosować zdrową i rozsądną metodę. Trzeba włożyć wysiłek myśli, wysiłek fizyczny, ażeby potrafić zaspokoić maximum potrzeb przy pomocy minimum środków.

Wystarczy porównać sposoby gospodarowania się dwóch rodzin robotniczych, posiadających te same dochody, żeby jasno zdać sobie sprawę z ogromnej wagi stosowania mądrej metody przy wydatkowaniu. Za przedmioty tej samej wartości można zapłacić mniej lub więcej drożej. Za tą samą ilość pieniędzy można kupić większą lub mniejszą ilość tych samych przedmiotów.

Nic więc dziwnego, że gdy jeden przy tej samej ilości zarobionych pieniędzy potrafi jeszcze zaoszczędzić, — inni wpadają w długi.

Stosowanie rozumnej metody w codziennem życiu gospodarzem prowadzi więc do oszczędzania i potwierdza słuszność naszego określenia oszczędności, jako pojęcia zdrowego i rozumnego życia.

Te dwie strony idei oszczędności nie wyczerpują jeszcze całkowiec tematu. Oszczędność ma jeszcze trzecią, niezwykle

ważną stronę, którą pragniemy teraz oświetlić.

Nie zaspakajając wszystkich potrzeb, odkładając ciężko zarobiony grosz z tą myślą, że zabezpieczy on wszystkie losowe ciosy i że uchroni wolność osobistą, ale chowając ten pieniądz w domu, czyli tezauryzując, zmuszamy go w ten sposób do bezczynności i pozbawiamy innych producentów ewent. klientów, przez co się kurczy ilość dokonywanych transakcji.

W rezultacie więc życie gospodarcze kraju traci na tem, nie rozwija się tak, jakby rozwijać się mogło, przez co wpływa na powiększenie bezrobocia i w ten czy inny sposób, prędzej czy później, szkodzi każdemu z oszczędzających.

Tezauryzacja więc, czyli trzymanie pieniądza zaoszczędzonego w domu jest rzeczą niezdrową i nierozumną, a każdy człowiek, pragnący w swem życiu gospodarczem trzymać się zasady zdrowej i rozumnej, nie powinien pieniądze tezauryzować. Tembardziej, że tezauryzując, grozi mu na każdym kroku cały szereg dotkliwych i tragicznych nieraz niespodzianek.

Myszy mogą schowane pieniądze w sienniku poszarpać na strzępy; ktoś może przez nieuwagę schowane w kominku pieniądze podpalić; złodziej zawsze czyhający na cudze dobro łatwo może gotówkę, przechowywaną w domu, ukraść; pieniądze można zgubić, przenosząc je z miejsca na miejsce; dzieci mogą je porwać w zabawie, — mnóstwo innych nieprzewidzianych rzeczy może unicestwić ztezauryzowane oszczędności.

Nakazem więc rozumnej gospodarki, z tych wszystkich względów, ale przedewszystkiem dla wyższych racji, tych o których mówiliśmy poprzednio, kiedy wspominaliśmy o wpływie niewydawanych pieniędzy na sumę obrotów gospodarczych, jest puszczanie w obieg swych oszczędności, w taki jednak sposób, aby takowe zawsze były do dyspozycji ich właściciela, albowiem naczelnem ich przeznaczeniem jest zabezpieczenie mu swobody ruchu.

Wynika z tego, że trzeba zaoszczędzone przez siebie pieniądze powierzać takim instytucjom bankowym i finansowym, które, dając całkowitą pewność bezpieczeństwa złożonego u nich grosza, jednocześnie używać go będą na cele zdrowej i niezbędnej gospodarki krajowej, ożywiając przemysł i handel, przyczyniając się do budowy dróg i mostów, gmachów publicznych, szkół i szpitali.

Takimi instytucjami nie mogą być inne instytucje, jak tylko Państwowe Kasy Oszczędnościowe, które właśnie w tym celu tworzy każde państwo, lub instytucje pozostające pod ścisłą kontrolą państwa.

A my, Polacy we Francji, gdzież mamy oszczędzać, jak nie do tych Kas Oszczędności Państwowych?

Nie chcemy tu robić różnicy pomiędzy francuskimi kasami pocztowymi oszczędnościowymi i bankiem Polska Kasa Opieki, która poza działem bankowym, reprezentuje te same, ale polskie instytucje oszczędnościowe.

Jednakowoż to tylko powinienem powiedzieć, że, tak ze względów uczuciowych, jak i ze względów praktycznych, Polak powinien popierać swoją polską instytucję. Ze względów uczuciowych — albowiem niejedyn z was myśli o powrocie do Polski i dumą go napawać powinno przeświadczenie, że składając w polskiej instytucji oszczędnościowej przyczynia się w ten sposób pośrednio do rozbudowy gospodarczej, do potęgi Państwa Polskiego; z praktycznych — albowiem łatwiej mu jest porozumieć się po polsku i w języku polskim.

Na zakończenie jedno wam chciałbym powiedzieć, szanowni i drodzy słuchacze. W okresie, który poprzedza taką czy inną gwałtowną operacją finansową całego społeczeństwa, czy będzie to smutnej pamięci inflacja, czy będzie to dewaluacja, rozpętywuje się zazwyczaj spekulacja pieniężna. Szał jej ogarnia wszystkie warstwy społeczne, czyniąc nokoło spustoszenia. — Ludzie zaczynają wyciągać pieniądze, lokować je w najbezmyślniejszy sposób, kupując za nie papiery wartościowe, spekulując na przypuszczalnym spadku waluty, wydając je wreszcie w bezrozumny sposób. — Trzeba sobie raz na zawsze wbić w głowę, że na spekulacji zarobić może tylko zawodowy spekulant, a, że każdy spekulujący amator, prędzej, czy później straci.

To jest wielka prawda, którą niestety nie wszyscy rozumieją, a której tu tłumaczyć nie możemy, albowiem zajęłoby to nam za dużo czasu i zbyt daleko odbieglibyśmy od tematu, którym jest dzisiaj uczczenie zdrowej i rozumnej *metody życia*.

Ta zdrowa i rozumna metoda życia sprzeciwia się zasadniczo idei spekulacji i już choćby z tego powodu nie dopuszcza jej stosowania w praktyce.

Rodacy i Rodaczki.

Niechaj dzień dzisiejszy stanie się dla was początkiem ulepszanego i udoskonalonego pod każdym względem życia.

Rodzice, dajcie przykład dzieciom waszym, co, jak, na czem i gdzie oszczędzać.

Towarzystwa i Związki, wpiszcie do waszych programów paragrafy, przewidujące akcję propagandy na rzecz oszczędności.

Niech wszystkim polskim społecznym poczynaniom na Wychodźstwie, niech wszystkim polskim zebraniom przewodzi ta wielka Idea, z której pragniemy zrobić *Ideę Polską*.

Oszczędności polskiej na wychodźstwie cześć i sława.

T. S.

ROZDZIAŁ II.

KAZANIE OSZCZĘDNOŚCIOWE

(do użytku kapłanów, wygłaszających kazanie
podczas Mszy św. urządzonej w dniu
«Święta Oszczędności»)

Idea oszczędności nie ma dotąd w żywotach świętych swego patrona. Z tych kart czcigodnych wygląda ku nam raczej oblicze pewnej świętej, że się tak wyrażę, rozrzutności. Święci, w zaraniu swego życia, wyłącznie Bogu poświęconego, przedewszystkiem pozbywają się tego, co ich zdaniem, może im zawadzać w poświęceniu wszystkich swoich chwil Bogu i bliźnim: osobistego majątku, po przodkach odziedziczonego. Zwykłą formą tego aktu wyzbycia się dóbr ziemskich jest wyrażenie, że rozdają go ubogim.

Myliłby się jednak, ktoby sądził, że jest to takie «na ślepo» rozdawanie pieniędzy, czy innych dóbr, na prawo i na lewo. Wiemy przecież, że Kościół od początku swego istnienia zakłada i utrzymuje najrozmaitsze instytucje dobroczynne, jak przytułki dla starców, sierot, szpitale, na koniec, szkoły i, związane z niemi, bursy, czyli dzisiejsze internaty. Niejeden święty, czy święta, ufundowawszy szpital, pozostaje przy nim do końca życia, posługuje chorym, spełniając przy nich najniższe posługi.

Starożytność pogańska nie znała tego rodzaju urządzeń. Dlaczego? Przecież dobroć i miłosierdzie nie były jej obce i ludzie dobrzy zawsze byli zjawiskiem dosyć zwykłym, a jednak takie urządzenia były jej obce. Przyczyna leży w wyobrażeniach życia pozagrobowego. Od czasu jak Chrystus powiędział: «Coście uczynili jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili» — każdy wyznawca, miłujący

swego mistrza, widział w ubogim i potrzebującym samego Zbawiciela. Szklanka wody, podana spragnionemu, zasługiwała na żywot wieczny i szczęśliwość niebieską. Te więc dwa momenty: zbawienie duszy i uradowanie serca Mistrza były sposobami przetopienia tego kruszcza, który święty uważał za marny piasek, na prawdziwą monetę duchową, za którą można otrzymać Królestwo Niebieskie.

W ten sposób wartości doczesne zamieniały się na wiekuiste i lokata ta okazywała się prawdziwie zbawienna. Tu przychodzimy do rozwiązania zagadnienia, *czem jest prawdziwa oszczędność!*

A więc — oszczędność powinna być rozumna! Oczywiście należy oszczędzać po zaspokojeniu potrzeb, zwykłej pomocy bliźnim, opłaceniu różnych składek dobroczynnych i t. p. Pozostałe sumy, czy choćby najmniejsze sumki, należy odkładać. To będzie prawdziwa oszczędność, ale czy już przez to samo będzie ona cnotą.

Prawdziwa oszczędność polega nie na samem gromadzeniu, lecz na lokacie. I tu przychodzimy do zrozumienia, dlaczego niema w Żywotach Świętych patrona oszczędności. Zato są patronowie lokaty, a temsamem dopiero oszczędności. Lokowali oni bowiem w dziełach dobroczynności i zapewniali sobie spokojny, szczęśliwy Żywot Wieczny. To słuszne, bo prawdziwe wartości są nietylko materialne, ale i duchowe, a dla wierzącego człowieka nietylko doczesne, ale i wieczne.

Za takiego patrona prawdziwej oszczędności, opartej na rozumnej lokacie, może nam służyć Święty Wawrzyniec, męczennik, umęczony za wiarę i za tę właśnie oszczędność w III. w. po narodzeniu Chrystusa, w Rzymie, za panowania cesarza Walerjana. Jego akta męczeństw obfitują w momenty wprost rozrzucające, a przytem wskazują na niebywały hart ducha w tym młodzieńcu.

Urodził się w mieście Huesca, w Hiszpanji około roku 230, jako syn zamożnych i bardzo bogobojnych rodziców Orencjusza i Pacjencji, uznanych potem za Świętych. Nic nie wiemy o jego młodości. Historia znajduje go już w Rzymie na stanowisku djakona papieża Sykstusa II, który go sobie bardzo ceni. Urząd djakonów sięga czasów apostołskich. W Jerozolimie chrześcijanie dzielili się swemi dobrami w miłości chrześcijańskiej, a apostołowie rozdzielali zebrane ofiary po-

między wszystkich. Bardzo dokuczały im nieustanne skargi wdów po żydach, którzy przybywali z dalekich krajów do Palestyny na święta żydowskie, tu umierali i zostawiali swoje żony na opiece Sanchedrynu, który także nie mógł sobie dać z niemi rady. Ciągłe się skarżyły, że są przy podziale pokrzywdzone. Więc Apostołowie polecieli wiernym, mając już dosyć tych skarg, aby wybrać spośród siebie siedmiu mężów bogobojnych i sprawiedliwych, i włożyli na ich ręce obowiązek pomocy przy nabożeństwie, i mszy św. (łamaniu chleba, czyli wieczerzy) i zajęcie się podziałem. Nazwano ich djakonami.

Oni to z czasem stali się zarządcami majątku kościelnego i kierownikami szpitali i schronisk, które od początku Kościół zakładał. Wawrzyniec taką okazał energję i umiejętność, a przytem taki zmysł oszczędności, że stał się prawą ręką papieża, który uważał go za swego ukochanego ucznia. Wawrzyniec przywiązał się do swego zwierzchnika, jak do ojca. Od początku pałał żądzą męczeństwa za Chrystusa. Gdy papieża prowadzono na śmierć, zabiegł mu drogę, wołając ze łzami w oczach: *Dokąd idziesz, Ojcze, bez swego syna, dokąd spieszysz bez swego djakona!* — Na to usłyszał odpowiedź: *«Nie opuszczam Cię, synu, za trzy dni pójdziesz za mną, tymczasem rozdać ubogim skarby Kościoła».*

Ktoś usłyszał to słowo «skarby», i doniósł o tem sędziemu, którym był prefekt Rzymu (Dyrektor Policji), a który bardzo się tem zainteresował. Nic dziwnego. Majątek męczennika ulegał konfiskacie i był dzielony pomiędzy sędziego, jak tu Prefekta — i Rząd. Część należną otrzymywał też denuncjant. Prefekt wzywa Wawrzyńca, aby wydał skarby. Święty prosi o trzy dni zwłoki, z których korzysta, aby rozdać majątek kościelny ubogim. Poczem zaprasza sędziego i pokazuje mu rzędem ustawionych biedaków: *«Oto, powiada, nasze skarby i kosztowności, nasze bogactwa».*

Prefekt wściekły z gniewu, wtrąca go do więzienia, gdzie Wawrzyniec przywraca cudownie wzrok niewidomym, nawraca żołnierzy, poczem zostaje najokrutniej storturowany. Na widok jego nieustraszonej odwagi znów nawraca się żołnierz. Święty zostaje położony na żelaznym ruszcie i pieczony na wolnym ogniu. W tych nadludzkich cierpieniach, z pewnym humorem, który znają akta męczenników, zwraca się do Prefekta: *«Mój sędzio, zdaje się, że z tej strony jestem już*

dostatecznie upieczony». W mękach święty młodzieniec oddaje ducha Chrystusowi.

Oto patron dla tych, którzy chcieliby dobrze zachować swój majątek, tak, żeby z tego była korzyść dla potrzebujących. Święty Wawrzyniec dobrze zarządzał dobrami, ale jeszcze lepiej umiał je *ulożować*. Cóżby się bowiem stało, gdyby skrył je w jakimś miejscu, niby bezpiecznym. Zręczna i czujna policja rzymska napewno byłaby je wykryła i uległoby zatrucie z wielką szkodą instytucji, tak ulokowane trafiły we właściwe miejsce, t. j. tam, gdzie były przeznaczone.

Szkodę wyrządzają społeczności, państwu i dobremu celom ci, którzy chowają pieniądze po różnych skrytkach, dokąd trafiają zwykle złodzieje i spekulanci. *Tymczasem grosz ulokowany w instytucji oszczędnościowej, jest bezpieczny od ludzi złej woli, a co najważniejsza, że nie leży bez użytku tylko przez wielką i pewną instytucję rozlewa się po całym Państwie, zasila kredyt, robi ruch handlowy i przemysłowy. Dzięki niemu powstają fabryki, ożywia się ruch budowlany, mnożą się sklepy i wytwórnie. A dzięki tym czynnikom całe masy inteligencji i ludu roboczego znajdują pracę i chleb, a syte i dobrze odziane dzieci radośnie idą do szkół, pięknie i higienicznie zbudowanych i urządzonych. Powstają szpitale i przytułki dla nieszczęśliwych, a z nowowzniesionych świątyń wzbija się ku niebu modlitwa i rozwija się cześć Boga. Wtedy kwitnie moralność.*

Świat należy do młodych, pracowitych i oszczędnych.

ROZDZIAŁ III.

**JEDNOAKTÓWKI
NA TEMATY OSZCZĘDNOŚCIOWE**

(do odegrania podczas uroczystości
«Dnia Oszczędności»)

IRENA LEWULISOWA.

Nauczycielka szkoły polskiej w Dourges.

NIESPODZIANKA

Obrazek sceniczny w jednym akcie.

OSOBY : *Janek* lat 13-14 }
 Tadek » » } harcerze
 Rysiek » » }
 Drużynowy lat 18 }

Rzecz dzieje się we Francji. Dekoracja: izba harcerska.

Janek (siedzi przy stole, zajęty wypitowywaniem lub robotą ramki z rafji czy jedwabiu).

Tadek i *Rysiek* (wchodzą). — Czuwaj!

Janek. — Czuwaj! Dobrze, żeście przyszli, chłopcy! Już mi zaczynało być trochę smutno, że tak tu sobie sam siedzę. Zbliża się nasz Dzień Harcerski, loterja fantowa, a dopiero 8 fantów mamy przygotowanych. Chyba zabierzecie się zaraz do roboty?

Tadek (rzuca się na krzesło). — Ee, do Dnia Harcerskiego mamy jeszcze całe trzy tygodnie. Można się nie śpieszyć z robotą. Jeszcze się zdąży.

Rysiek. — Wiesz, myśmy tu zupełnie poco innego przyszli. Mamy doskonały projekt, ale powiemy ci, gdy Lucek przyjdzie, bo on ci to najlepiej wytłumaczy.

Janek. — Już jak mi to Lucek ma tłumaczyć, to odrazu domyślam się, o co chodzi. Chcecie mnie namówić, żebym poszedł z wami na ten film o cowbojach, który grają w Scafi. Ale nic z tego, moi drodzy!

Rysiek (siada na stole — drwiąco). — Co, może nie masz pieniędzy? Eh, Janek, nie bujaj nas lepiej!

Tadek. — Kto, jak kto, ale ty zawsze masz forszę. Nie wiem, doprawdy, jak to robisz, bo przecież rodzice nie dają ci więcej, niż nam, a głupich dwóch franków na kino żałujesz?

Rysiek (przyśpiewuje).

Skąpiradło
Z pieca spadło
I potłukło się!

Janek (przyśpiewuje).

Kto oszczędza,
Tego nędza
Nie ima się, nie!

Tadek (z oburzeniem). — To ty, ty to nazywasz oszczędnością, to skąpienie paru franków na konieczne w życiu rozrywki?!

Rysiek (z perswazją). — Bój się Boga, Janek, przecież tak nie można! Odmawiasz sobie przyjemności — i poco? Poco? Myślisz, że dzięki tym paru frankom staniesz się bogaty? Dwa franki mniej czy więcej — co za różnica? Zresztą niech sobie starsi suszą nad temi sprawami głowę — my, dzieci, musimy się bawić. To nasze prawo! I cóż mi na to odpowiesz, mądra głowo?

Janek. — Wiele mógłbym ci na to powiedzieć, ale mnie nie zrozumiesz.

Rysiek (ze złością). — Patrzajcie go, jaki mądry! Ja nie rozumiem? Jestem od ciebie starszy o 7 miesięcy!

Janek. — I jeszcze o 18 dni, 6 godzin 40 minut i 35 sekund. Jak dokładność, to dokładność. No, i cóż z tego?

Rysiek. — Jakto, co z tego? Kto jest starszy, ten jest mądrzejszy!

Janek (triumfująco). — No, to wpadłeś, bracie, bo nasz drużynowy, który ma 18 lat, też nas zachęca do oszczędności.

Tadek (pojednawczo). — Daj mu lepiej spokój, Rysiek, i tak go nie przegadasz, tego skąpiradła. Jak nie chce iść do

kina, to się obejdzie i bez niego. (*Do Janka — z komicznym patosem.*) — Oszczędny człeku! Życzę najgoręcej!

Rysiek. — Cha, cha, cha! A toś mu dojechał!

Janek. — Nie chcę się wam odgryzać, ale przypomnę wam pewne przysłowie: ten się śmieje, kto się śmieje na ostatku.

Rysiek. — Napewno my w takim razie, bo nad program dają przygody myszki Mickey w krainie ludożerców.

Tadek. — No więc, Rysiek, zostawmy tego mruka i chodźmy, bo się spóźnimy.

Janek. — Idźcie, chłopcy, i bawcie się dobrze.

(*Tadek i Rysiek zacierają do wyjścia, gdy wchodzi Drużynowy z listem w rękę.*)

Drużynowy. — Czuwaj!

Wszyscy (w postawie na bacność). — Czuwaj, druhu!

Drużynowy. — Co, wychodźcie już? Zostańcie chwilę, mam dla was coś ciekawego.

Tadek (do Ryśka). — Wróćmy, jeszcze i tak do kina zdążymy. (Wracają od drzwi.)

Drużynowy. — Dostałem przed chwilą bardzo ważną wiadomość z Komendy Głównej w Paryżu. Oto w tym roku, oprócz obozu we Francji, będzie zorganizowany też dla harcerzy z Francji obóz w Polsce. Opłata jest niewielka, jeśli się uwzględni, że sama podróż do Polski jest bardzo kosztowna, jednakże, nie wiem, czy ktoś z naszej drużyny będzie mógł pojechać, boć zawsze 230 franków to jest kawał grosza. Ja osobiście jechać nie mogę, gdyż dopiero od kilku miesięcy pracuję w fabryce i trudnoby mi było starać się o urlop, ale takbym chciał, żeby z was który pojechał do Polski! Pomyślcie tylko: do tej Polski ukochanej, której prawie nie znamie, i to jeszcze na obóz harcerski!

Rysiek. — O, proszę druha, każdyby chciał jechać, ale skąd wziąć taką masę pieniędzy? Mnie tata nie chciał dać w zeszłym roku tych 70-ciu franków na opłatę obozu we Francji, a cóż mówić dopiero o obozie w Polsce, który kosztuje przeszło trzy razy tyle!?

Tadek. — A mój tata powiedział, że gdybym sobie uskładał połowę potrzebnych pieniędzy, toby mi drugą połowę dołożył, ale gdzież chłopak, który sam jeszcze nie zarabia, może coś zaoszczędzić? Próbowałem w zeszłym roku oszczędzać, ale mędko dał spokój, bo i tak niczy z tego nie wyszło.

Janek (trochę nieśmiało, ale z radością). — Proszę druha, ja pojedę!

Wszyscy (ze zdumieniem). — Ty? Zaco?

Janek (z dumą). — Za swoje oszczędności, które mam w Banku P.K.O.

Drużynowy. — Janku, to niemożliwe! Tybyś miał mieć 230 franków?

Janek (wyjmuje z kieszeni ks. dep. P.K.O.). — Jeszcze nie mam całej sumy potrzebnej, ale mi niewiele brakuje. O, patrzcie: książeczka depozytowa Banku Polska Kasa Opieki — Nr. 14.678, właściciel: Jan Bednarek. A tutaj wpisany stan moich oszczędności: 194 fr. 65 cent. Byłoby tylko 190 franków, ale dopisali mi w Banku procenty za zeszły rok na sumę 4 fr. 65 centymów. A do wakacyj jeszcze kilka miesięcy, zbieram napewno nietylko tych trzydzieści kilka franków brakujących, ale jeszcze mi pewna sumka zostanie na książeczce. Zaniczym nie podjął wszystkich oszczędności, bo wtedybym stracił książeczkę, która jest dla mnie przyjaciółką i doradczynią.

Drużynowy. — No, wiesz, Janek, to jest prawdziwa niespodzianka i dla mnie i dla całej drużyny. Ale czy ci rodzice jechać pozwolą?

Janek. — O tak, napewno, nietylko pozwolą, ale się jeszcze będą cieszyli, że zwiedzę choć trochę naszą ojczyznę.

Drużynowy. — No to, czuwaj, chłopcy! Pójdę ostatecznie się rozmówić z twoimi rodzicami, Janku, i wysłać do Komendy twoje zgłoszenie. (Wychodzi, Janek go odprowadza i wychodzi za nim.)

Tadek (do Ryśka). — A to ci kawał! A myśmy myśleli, że Janek to taki skąpiec!

Rysiek. — Okazało się, że to nie było skąpstwo, tylko mądra oszczędność. Ale wiesz, tak mi markotno na duszy: ten szczęśliwiec pojedzie latem do Polski, a my nawet na obóz we Francji wybrać się nie możemy.

Tadek. — Ej, wiesz co? Mam myśl! Zacznijmy i my oszczędzać, a może jeszcze choć na obóz we Francji zberzemy. I to od dzisiaj! Na początek nie pójdziemy do kina, a każdy z nas otworzy sobie w P.K.O. książeczkę na 2 franki.

Nie dużo to, coprawda, ale grunt, że początek zrobiony, a przecie wszystko najtrudniej jest zacząć.

Rysiek. — Brawo, Tadek! To jest świetny pomysł! I wiesz, mnie się zdaje, że prędzej zbierzemy te pieniądze, niż myślimy. Zastanów się tylko chwilę, ile to się wyrzuca pieniędzy to na kino, to na gumę do żucia, to na cukierki, to na ciastka, to na nowe zeszyty dlatego, że się ze starych wydzie-
rało kartki bez miłosierdzia!

Tadek. — A przecież w zeszłym roku zarobiłem prawie 30 franków za te ryby, które łapałem na wędkę w kanale, i gdzie one są? Żebym sobie choć coś zato kupił, ale gdzie tam! Tak się to jakoś rozeszło bez śladu...

Rysiek. — A ja chodzę stale po sprawunki dla sąsiadki, i co tydzień dostaję 2 albo i 3 franki. I co z tego mam? Figę!

Tadek. — No, widzisz, Ryś, Musimy zacząć oszczędzać i innych jeszcze do tego namawiać, żeby zbierali grosz do grosza i składali w Banku P.K.O., bo to i najpewniejszy sposób zaoszczędzenia sobie czegoś i jeszcze zysk znaczny ma się z procentów.

Rysiek. — Brawo Tadek! Jesteś mądrzejszy, niż na to wyglądasz!

Janek (wchodząc). — Co, jeszczeście nie poszli do kina?

Rysiek (triumfująco). — I nie pójdziemy!

Janek (ze zdziwieniem). — Dlaczego? Co się stało?

Tadek. — Nic się nie stało, tylko twoim kolegom przybyło trochę rozumu w łepetynach.

Rysiek (uroczyście). — Słuchaj, Janku, i bądź świadkiem. Oto tu obecni Tadeusz Jankowiak i Ryszard Kosmala odwołują uroczyście brzydka nazwę «skąpiradła», którą niesłusznie obdarzyli swego kolegę, Jana Bednarka; oraz postanawiają pójść w jego ślady i od dnia dzisiejszego rozpocząć całą parą oszczędzanie.

Tadek. — Tak, tak. Nietylko całą parą, ale i pełnym gazem w dodatku!

Janek. — Jak to dobrze., chłopcy, żeście nareszcie zrozumieli znaczenie oszczędności i postanowili to w czyn wpro-

wadzić! Teraz to jest dla mnie niespodzianka! Niechże was uściskam! (*Ściskają się, poczem, objęci, z Jankiem w środku, śpiewają na melodję „Marynarz tęskni — z małą zmianą w IV-tym wierszu.*)

I.

W czasie kryzysu, gdy bieda gniecie,
To tylko pewien jest o swój los
Ten, kto oszczędnie żyje na świecie,
Ten, kto pieniędzy ma pełen trzos.

II.

Lecz nie wystarczy mieć trzos pieniędzy,
Bo może ukraść je byle kto...
Więc, jeśli chcecie uniknąć nędzy,
Złóżcie pieniądze swe w P.K.O. !

* (Przy słowach: «złóżcie pieniądze...» Ryś i Tadek podnoszą ręce od zewnątrz w górę ku środkowi, Janek zaś obu rękami podnosi do góry ks. dep. P.K.O., zwróconą stroną tytułową do widowni i tak trwają aż do spuszczenia kurtyny.)

K u r t y n a.

IRENA LEWULISOWA.

Nauczycielka szkoły powszechnej w Dourges.

NIECH ŻYJE MAMA !

(Jednoaktówka, odznaczona drugą nagrodą na konkursie Banku Polska Kasa Opieki w Paryżu)

OSOBY : Ojciec
Matka
Józek — lat 13
Antek — lat 12
Marysia — lat 11.

Rzecz dzieje się dzisiaj, we Francji.

(Scena przedstawia zwykły pokój w rodzinie robotniczej; na środku stół, nakryty serwetą, z którego Marysia sprząta brudne naczynie, pozostawiając jedno nakrycie czyste, chleb i sól. Ścienny zegar wskazuje godzinę 4 i pół.)

Matka (za sceną). — A która to już godzina, Maryś?

Marysia. — Wpół do piątej, mamó.

Matka (wchodzi). — Nie rozumiem, doprawdy, co się stało z ojcem. Gdy ma ranną pracę, wraca zawsze punktualnie o wpół do trzeciej. A tu już tak późno, a jego jeszcze niema. Czyżby mu się stało co złego?

Marysia. — Co to, to nie, mamó. Gdyby w kopalni stało się jakie, nie daj Boże, nieszczęście z ojcem, toby nas zaraz powiadomili. To musi być co innego.

Matka. — Masz słuszość, córeczko. Przecie, kiedy Wal-ka Jentycha skaleczyło i musieli go wziąć do szpitala, to zaraz dali znać żonie. Ale cóżby innego mogło się stać z ojcem? Przecie po kawiarniach nie chodzi, a z pracy zawsze wraca prościutko do domu.

Marysia. — To prawda, mamó, że tacie zawsze pierwsze dzieci i żona, niż piwo i koledzy. Nie martw się, mamusiu, zaraz zawołam chłopaków, a ty ich wyslij na kolonję, niech zapytają ludzi, może kto będzie wiedział.

Matka. — A zawołaj, córeczko, zawołaj. Poślę ich szukać ojca.

Marysia (otwiera okno i woła, jeśli niema okna, to wychodzi za scenę, woła, a potem wraca). — Józek!... Antek!... Mama woła!...

(*Wpadają Józek i Antek.*)

Józek. — A co, mamusiu?

Matka. — Słuchaj-no, Józku, pójdź razem z Antkiem do Juszczaków i zapytaj, czy wasz chrzestny już wrócił, bo chrzestny pracuje na tej samej zmianie, co ojciec. Jeżeli wrócił, to zapytaj...

Antek (przerywa). — E, mamó, niema poco chodzić. Przed chwilą była Zośka od Juszczaków i pytała, czy nasz tata wrócił, bo ich to jeszcze nie.

Matka. — Jezus, Marja! I stary Juszczak nie wrócił? Pewnie jakieś nieszczęście w kopalni (zakrywa twarz rękami).

Marysia. — Uspokój się, mamusiu, uspokój! Chłopcy pój-
dą zaraz aż pod kopalnię. — Józek może wziąć rower od Sobczaków — i wszystkiego się dowiedzą. (Do braci.) No, chłopaki!

(*Chłopcy zmierzają do wyjścia; w tej samej chwili w drzwiach ukazuje się ojciec.*)

Wszyscy (jeden przez drugiego). — Nareszcie! Tato! Chwała Bogu! Co się stało? Dlaczego tak późno?

Ojciec (ociera pot z czoła, wita się z żoną i z dziećmi serdecznie, lecz widać, że jest nieswój). — Nic, nic, kochani. To jest... nie, nic... zamarudziłem trochę przy wyjściu... tak się trochę rozmawiało z kolegami... potem wstąpiliśmy do kawiarni... wszystko dobrze... tak... wszystko dobrze...

Matka (przygląda mu się uważnie, potem zwraca się do dzieci). — Idźcie bawić się na dwór dzieci. Możecie nie wracać, aż was zawołam.

(*Chłopcy wybiegają z widocznym pośpiechem, Marysia ociąga się.*)

Matka. — A ty, Marysiu, nie idziesz?

Marysia. — Ależ idę, mamo, idę (dochodzi do drzwi, potem pędem wraca, całuje prędko matkę w rękę, szybko ściska ojca za szyję i wychodzi).

Ojciec (ociera oczy rękawem). — Dobrze, kochające dziecko ta nasza Maryśka! A teraz posłuchaj. Nie chciałem tego mówić przy dzieciach, choć i tak się wkrótce dowiedzą.

Matka (z przestachem). — Więc jednak przecucie mię nie omyliło. Jakaś zła nowina!

Ojciec. — Tak, Kasiu, niestety, nawet bardzo zła. (Twardo.) Dziś kompanja wymówiła pracę pięciuset górnikom. (Ciszzej.) W tej liczbie jestem i ja. Za tydzień wyjeżdżamy do Polski.

Matka (spuszcza głowę). — Więc jednak wyjeżdżamy... (Z nagłą radością.) O Jędrak!

Ojciec. — Widzisz, Kasiu, to dlatego tak się spóźniłem. Nie miałem odwagi wrócić do domu i powiedzieć wam to. (Z ciężkim westchnieniem.) Tyle lat... tyle lat spędziłem na ciężkiej pracy we Francji i teraz co? Siły, zdrowie, młodość całą straciłem pod ziemią i co teraz mamy? Pięcioro nas do wyżywienia... Dzieci jeszcze małe... Co będę w Polsce robił? Czy dostanę pracę? A jeśli nie?... Strach pomyśleć, co, Kasiu, z nami teraz będzie! Oj, Kasiu, że też przyszło nam dożyć takiej chwili! (załamuje ręce).

Matka (otwiera usta, jakby chciała coś powiedzieć, powstrzymuje się jednak, chwilę namyśla się, potem się nagle decyduje). — Słuchaj, Jędrzek, chcę ci coś ważnego powiedzieć.

Ojciec (niechętnie). — I co mi powiesz? Co nato poradzisz? Ja wiem, ty zawsze byłaś dla mnie dobra... Będziesz się starała pocieszyć mię... Ale co tu kto pomoże na takie nieszczęście?

Matka. — Nie mów tak, Jędrzek. To wcale nie jest nieszczęście, że wracamy do Polski. To nawet dobrze. Dawno ci o tem chciałam mówić, ale jakoś sposobności nie było.

Ojciec. — Kobieto, co ty mówisz? To nie jest nieszczęście? Kasiu, opamiętaj się!

Matka (głośno, z widoczną radością). — Słuchaj Jędrzek, zaraz wszystko zrozumiesz, ale słuchaj uważnie, bo coś ciekawego ci powiem.

Ojciec (niedowierzająco). — No?

Matka. — Jędrzek, nie na biedę my wrócimy do Polski, nie na oglądanie się za pomocą, nie na żmudne poszukiwanie pracy, ale na gospodarstwo, na własną, najwłasniejszą ziemię rodzoną. Słyszysz?

Ojciec. — Rozum ci się pomieszał, kobieto! Na jakie gospodarstwo? Co ty bredzisz?

Matka (z triumfem). — Toż mówię wyraźnie: na własne gospodarstwo pojedziemy. Jeszcze go nie mamy, ale zaraz po przyjeździe kupimy, wiesz, ten kawał ziemi z sadem i zabudowaniami, co jest w naszej wiosce, zaraz za kościołem, koło mostu, od Wojciecha Antczaka, bo właśnie szwagier pisał, że jest do sprzedania.

Ojciec (zapala się). — Tę gospodarkę od Wojciecha!... Ależ to najpiękniejsze gospodarstwo w całej wsi! Samej ornej ziemi cztery morgi... Jezu Nazareński! A co za ziemia... Złoto, nie ziemia. Pszenica rośnie na niej, jak las! A sad... grusze, jabłonie, śliwy... (nagle urywa — z przygnębieniem).

Oj, Kasiu, Kasiu, nie krwaw mi serca lepiej. A zaco my to kupimy? Za te dziesięć palców, co je mam całego majątku. (Opuszcza głowę na stół, na złożone ręce).

Matka. — Za pieniądze, Jędrus, za pieniądze kupimy, za pieniądze, które mamy oszczędzone!

Ojciec (z niedowierzeniem). — Pieniądze... oszczędzone? Gdzie, kiedy, jak, ile? (z krzykiem prawie). Mów, Kaśka, bo zwarzuję!

Matka (zaczyna nieśmiało, potem coraz pewniej i głośniej). — Słuchaj Jędrak, to była w całym moim życiu jedyna tajemnica przed tobą. Z każdej wypłaty odkładałam, ile mogłam, najpierw na pocztę, potem do P.K.O. Oszczędzałam na ubraniach dla siebie i dzieci, nauczyłam się sama szyć, żeby krawcowej nie płacić, prałam po bogatszych domach, odmawiałam sobie i dzieciom rozmaitych rozrywek; żeby oszczędzać na węglu — paliłam chróstem, co to go w lesie za kartą wolno zbierać, pola mieliśmy zawsze kawał duży, chowało się w domu świnię i króliki, — i co piętnaście dni przybywało coś na książeczce, przybywało, i teraz mamy dość na kupienie gospodarki.

Ojciec. — Boże, Boże! Kasiu, ciebie chyba Matka Boska natchnęła tą myślą. Ale dlaczego mnie nic nie mówiłaś?

Matka. — Przebacz, Jędrak, przebacz! Ale myślałam, że jak ci powiem, to może ty zechcesz szerzej żyć, albo przestaniesz mi oddawać wypłatę, i tak wszystko na marne pójdzie.

Ojciec. — Rozumna z ciebie kobieta, Kasiu! Może i do brze, że m o niczem nie wiedział, bo mężczyzna to prawie każdy, jak poczuje pieniądze, to je zaczyna w błoto ciskać. Ale ileż to się tego zebrało?

Matka (figlarnie). — A zgadnij!

Ojciec. — Chcesz, żebym zgadywał? No, dobrze! pięć tysięcy franków!

Matka. — Więcej!

Ojciec. — No, to sześć!

Matka. — O, więcej!

Ojciec. — Co, przecież nie dziesięć?

Matka (z uśmiechem). — Nie, nie dziesięć, bo więcej!

Ojciec. — Kaśka, nie męcz dłużej, a powiedz, ile?

Matka. — A nie powiem. Zgadnij!

Ojciec. — No, piętnastu to napewno nie mamy!

Matka. — Mamy więcej!

Ojciec (chwyta się za głowę). — Panno najświętsza! Myśli mi się płaczą! Dwadzieścia?

Matka. — To ci już powiem. Mamy... dwadzieścia siedem tysięcy i czterysta franków, bez procentów za ten rok.

Ojciec (ze zdumieniem). — Dwadzieścia siedem tysięcy franków... Cuda, cuda się dzieją doprawdy. Ale skąd?!... Jakim sposobem? Chyba okradłaś kogo?

Matka. — E, nie żartuj tak, to grzech wprost tak żartować. Lepiej rachuj; jesteśmy czternaście lat we Francji. Najpierw zarobki były bardzo dobre, to odkładałam mniejwięcej po dwieście franków miesięcznie, potem po sto pięćdziesiąt, potem po sto, a ostatnio to choć tylko pięćdziesiąt, ale odkładałam stale. A procenty za te wszystkie lata? A widzisz!

Ojciec. — Skarb, skarb taka żona oszczędna! (Woła przez okno lub drzwi). Józek! Antek! Maryśka!

*(Dzieci wchodzą, ale smutne i nieswoje,
Marysia ociera oczy.)*

Ojciec. — Mam dla was wielką nowinę, dzieci.

Józek. — Już wiemy, tato! Na przyszlą sobotę jedziemy do Polski, bo kompanja zwolniła pięciuset robotników cudzoziemskich.

Antek (prawie z płaczem). — Pojedziemy do Polski, tato. I co my tam będziemy robić, jak tato nie dostanie pracy, a przecie wszędzie na świecie ciężko!

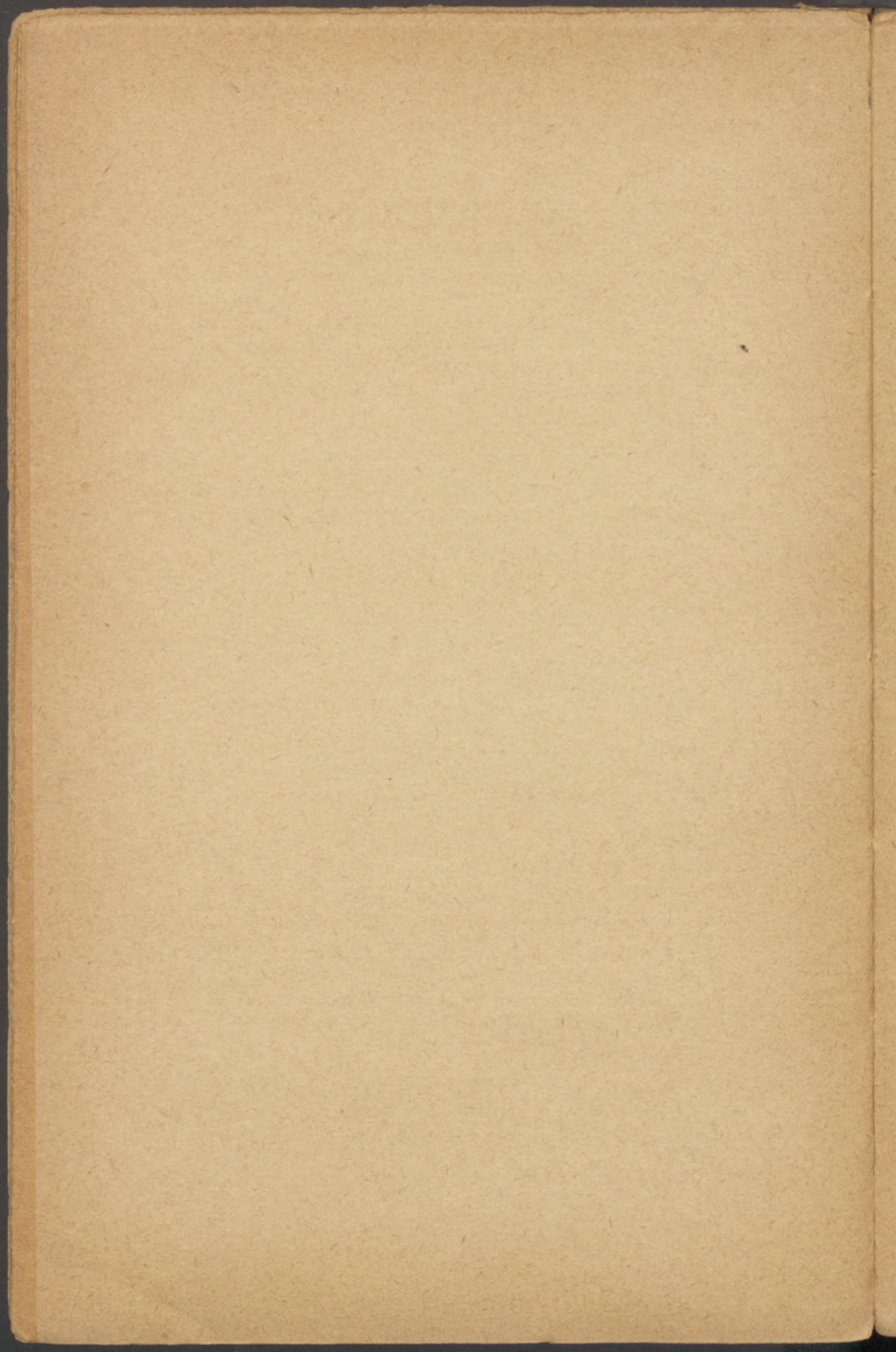
(*Marysia milcząc i popłakując tuli się do matki.*)

Ojciec. — Słuchajcie, dzieci. Pojedziemy do Polski i kupimy sobie śliczne gospodarstwo w naszej wiosce. Nie potrzebujemy się obawiać biedy — zobaczycie, jak nam będzie dobrze. A wiecie, kto to zrobił? To zasługa waszej dobrej, rozumnej matki, która pracą i oszczędnością uciułała kapitalik, który nam pozwala patrzeć w przyszłość nietylko bez trwogi, lecz z wiarą i nadzieją.

Chłopcy (chwile patrzą na matkę, potem rzucają się ku niej i wołają głośno). — Niech żyje oszczędność!

Marysia (przypada matce do kolan). — Mamusia, mamusia, nasza najdroższa mamusia niech żyje!

K u r t y n a .



GABRJELA ŚLUSARKÓWNA
nauczycielka szkoły polskiej
w Marles-les-Mines.

«ZIARNKO DO ZIARNKA, BĘDZIE MIARKA»

Obrazek sceniczny w jednej odsonie.

OSOBY : *Basia*
Ewa
Maryśka
Franek } rodzeństwo

Listonosz.

Scena przedstawia dziecinny pokój. Dzieci zajęte są nauką; czytają półgłosem swe lekcje; piszą.

Basia (chodzi po pokoju, ucząc się wiersza głośno) :

«Ziemio moja ojczysta, jakżeś Ty daleko,
Ani za siódmą górą, ni za siódmą rzeką —
Lecz kiedy duszą w Twoje przenoszę się strony,
Widzę jak tam w oddali czernią się zagony.»

(Powtarza tą część kilka razy — zamyka książkę i mówi:)
Wicie, dziwne mi myśli nasunął ten wierszyk, pomyślcie tylko i w szkole i w domu ciągle nam opowiadają o Polsce; znamy ją z opowiadania, z książek, z poezji — ale nie znamy

Franek. — Wiesz Basiu i ja o tem często myślę, że przecież ci nasi koleldzy Francuzi o wiele są od nas szczęśliwsi, jej w rzeczywistości. Żadne z nas nie było jeszcze w swojej ojczyźnie.

nie muszą sobie wyobrażać swej ziemi, bo na niej mieszkają — nie muszą do niej tęsknić — a my?

Basia. — Pewno, że szczęśliwsi — ale czy my na to możemy poradzić. Tak bardzo bym pragnęła, choć raz do Polski pojechać, zobaczyć ją, poznać — ale jak to zrobić.

Ewa (zamyślona). — Ale jak, bo ja naprawdę nie widzę sposobu.

Maryśka. — Ani ja też, niestety rodzice nasi zbyt wiele mają kłopotów — a przytem zbyt mało pieniędzy, byśmy o takiej podróży marzyć mogli.

Franek. — Nie mamy już w Polsce rodziny do którejby zajechać można — wszyscy na tułaczce zagranicą. (Dzieci zamyślają się chwilę — ktoś puka.)

Wszyscy. — Proszę. (Wchodzi listonosz, kładzie list na stole.)

Listonosz. — Liścik przynoszę. (Wychodzi.)

Basia (bierze list i woła). — To do mnie list z Polski.

Wszyscy. — Od kogo, od kogo?

Basia (ogląda list i klaszcząc mówi). — To od Kazi, tej harcerki, z którą koresponduję od początku roku szkolnego. Ciekawam, co też nowego pisze. (Otwiera list, dzieci obstępują ją, ona czyta głośno.)

Kochana moja Basienko! Serdecznie całuję za list, przyznam Ci się, że nie tylko mnie ucieszył, ale i wzruszył, a zwłaszcza to jedno zdanie, w którym tak jasno przebija tęsknota Twoja za ojczyzną, której nie znasz, a której poznania tak jesteś żądną. Wiesz Basiu — pozwoliłam sobie na pewną wobec Ciebie niedyskrecję — otóż list Twój przeczytałam na zbiórce wszystkim druhenom. Słuszne przysłowie: «W jedności siła», bo oto w drużynie uradziliśmy co następuje: Jest nas druchen 40 i od dzisiaj wszystkie nasze oszczędności będziemy składać na wspólną książeczkę w P.K.O. i to będzie na podróż do Polski dla Ciebie Basiu. (Basia wzruszona przerywa czytanie i mówi): Jakie one dobre te dziewczynki, ale czy ja bym mogła przyjąć te pieniądze?

Franek. — O tem, potem, a teraz czytaj dalej.

Basia (czyta). — Prawda, że nad zrealizowaniem tego planu, trzeba będzie dużo i mądrze pomyśleć, ale czasu na to do wakacji sporo. Jedziemy całą drużyną na obóz koło Zakopanego — poznałabyś więc nasze góry, które tak kochasz.

Franek (śpiewa). — Hej góry nase góry, te nase górzyska, hej brukowe listeczki...

Ewa (przerywa). Zaczekaj ze śpiewem niech Basia list dokończy.

Basia (czyta). — Weź więc Basiu nasz projekt pod rozwagę i napisz nam prędko co o nim myślisz. Serdecznie Cię całuję od siebie i druhen. Czuwaj!

Maryśka. — Wiecie, że to naprawdę dziwne, właśnie teraz, kiedy rozmyślaliśmy, jakby się tam do Polski dostać, przychodzi ten list.

Basia. — Jaki to naprawdę dziwny zbieg okoliczności.

Franek. — A ja wam powiem, że w tym liście jest rada, której przedtem szukaliśmy nadaremno.

Dziewczynki. — Jaką radę masz Franku na myśli?

Franek. — Widać zbyt was sama wiadomość zajęła, skoro nie zauważyliście tego.

Maryśka. — No, z ciebie zawsze był uczony, Koszałek-Opatek, ale zamiast droczyć się z nami, odśłoń nam rąbek odkrytej przez ciebie tajemnicy.

Franek. — Skądże te twoje koleżanki, Basiu, chcą zebrać pieniądze na podróż do Polski dla ciebie?

Basia. — No, ze swoich oszczędności.

Franek. — Właśnie o to chodzi. Pomyślcie tylko, jeżeli te obce dziewczęta chcą oszczędzać dla ciebie, to przecież ty sama i my tembardziej zrobić to możemy.

Dziewczynki. — Tak, tak to prawda, musimy i my oszczędzać!

Ewa. — Żeśmy też sami na to nie wpadli.

Maryśka. — Niedawno czytałam taką śliczną bajkę na temat oszczędności.

Franek. — Opowiedz nam ją.

Maryśka. — No, spróbuję, wprawdzie nie bardzo dobrze umiem opowiadać, ale posłuchajcie: (wszyscy siadają, Maryśka z powagą opowiada.) Było to w dalekim od nas kraju, a raczej małym ksiąstewku, nazwę zapomniałam. Na zamku mieszka król, królowa, ich córka, śliczna królewna, i dworza-

nie. Do tego zamku przyszedł raz młody podróżnik. Urzędowo dla niego uczte. Podczas uczty były tańce, zapasy i różne urozmaicenia. Gość jednak cały czas patrzył na piękną królową, która mu się wydawała dziwnie smutną. Smutek ten zdawał się jednak przytłaczać nie tylko królową, ale cały dwór. Młodzian jednak nie śmiał zapytać o przyczynę tego smutku. Naraz przy uczcie wstał król i tak przemówił. «Poddani, długo ukrywałem przed wami smutną prawdę — dziś jednak czas odsłonić wam smutną tajemnicę. Jestem zrujnowany, pusty jest skarbiec królewski — więc i księstwo moje też zrujnowane. Z oczu króla popłynęły dwie grube kople łez, zapłakali dworzanie, pobladła królowa. Jeden z dworzaków zapytał: czy nie masz królu na to żadnej rady? Niestety nie, odparł król smutno. Na to wystąpił nasz młodzian, pokłonił się przed królem i powiedział: ja mam radę. Jaką, jaką, posypały się zewsząd pytania, «Oszczędność», odpowiedział podróżny. Niechże każdy z obecnych pozbedzie się swych klejnotów, da je do skarbu państwa i od tej chwili zacznie oszczędzać, pamiętajcie «Ziarno do ziarnka, będzie miarka». Wszyscy zgodzili się. Król uściskał młodzieńca za tak zbawienną radę dał mu swą córkę za żonę». (Franek wychodzi).

Dziewczynki. — Śliczna bajka — a jaka przy tem prawdziwa.

Ewa. — Ja także opowiem wam bajkę podobną do tej, ale dopiero wieczorem. (Franek wraca, podając z zażenowaniem Basi parę franków.)

Basia. — A to co, Franku?

Franek. — Drobnostka — to na dobry początek. Widzisz, dostałem od ojca na imieniny tych parę franków i miałem sto projektów co za nie kupić, no a teraz znalazłem najlepszy cel.

Basia (całuje Franka i mówi wzruszona). — Ależ Franku, jakże ja je przyjąć mogę, jak mogę cię pozbawić przyjemności kupienia czegoś dla siebie?

Franek. — Wiesz Basiu, tak całkiem bezinteresownie też ci ich nie daję, bo pomyśl gdy pojedziesz do Polski, zobaczysz Ją, a wtedy już nie z obrazków, ale z twych własnych przeżyć będziemy poznawać nasz kraj — przywieziesz nam stamtąd jakie pamiątki.

Basia. — No tak, ale czemu właśnie ja mam być z nas czworga ta wybrana?

Maryśka. — Bo jesteś Basiu najstarszą, a zresztą to przecież ciebie zapraszają harcerki, a nie nas.

Ewa. — Co tu nad tem myśleć — dobrze wiemy, że co jest możliwem dla ciebie jednej, jest niemożliwością dla nas czworga.

Franek. — Teraz ty, a da Bóg to potem na nas przyjdzie kolej.

Basia (tańczy zadowolona nucąc «Krakowiaczek jeden» całuje siostry, ale naraz poważnieje i mówi). — No tak my tutaj postanawiamy, o tak ważnej rzeczy, a czy rodzice się zgodzą?

Franek. — Napewno się zgodzą. Któż to jak nie oni właśnie od małości rozbudzają w nas miłość do ojczyzny i na każdym kroku przypominają nam, że tam daleko, daleko jest nasz własny kraj, który nad wszystko kochać trzeba. (Siada i pisze na kartonie.)

Maryśka (śpiewa). — «Nad moją kolebką matka się schylała i po polsku pacierz mówić nauczała».

Ewa. — Widzisz Basiu, sama niedawno mówiłaś, że kilka harcerek z Francji pojedzie do Polski na obóz, więc pojedziesz z nimi i rodzice będą o ciebie spokojni.

Basia. — Tak, pamiętam, ale czyż wtedy mogłam marzyć, że i ja z nimi pojedę.

Ewa (szuka coś w szufladzie, podnosi skarbonkę w górę i mówi). — Od dzisiaj będzie to najważniejszy sprzęt w naszym pokoju — trzeba mu wyszukać honorowe miejsce. (Kładzie w miejscu widocznem.)

Franek (rozkłada papier na którym wypisane jest dużemi literami «Oszczędzajmy, ziarnko do ziarnka, będzie miarka». Przypina z Ewą na ścianie). — Słuchajcie siostrzyczki, przyrzekliśmy sobie, że od dziś będziemy żyć pod znakiem tego hasła, a napewno osiągniemy niejeden piękny cel.

Wszyscy (odczytują głośno). — «Oszczędzajmy, ziarnko do ziarnka, będzie miarka.» Przyrzekamy uroczyście oszczędzać.

Ewa. — Jak uzbieramy kilkadziesiąt franków oddamy na książeczkę do P.K.O. Z kasy otrzymamy procent, pieniądze będą pewne, stale ich będzie przybywać. Tak będziemy stale postępować. Dobrze?

Wszyscy. — Zgoda! — Jak za okrętem białe lecą mewy
Tak nasze myśli do P.K.O. mkną
Coś rozśloneczniać zdaje się myśl naszą
Na samo wspomnienie o P.K.O.

ALEKSANDER KAJDAŃSKI
nauczyciel szkoły polskiej w Frais-Marais.

«OSZCZĘDZONE GROSZE»

(Obrazek sceniczny w 1 odsłonie)

Gromadka dzieci rozmawia pod szkołą.

Jadwiga. — Aże mi się na płacz zbierało, jak pani o tej powodzi opowiadała !

Antoś. — Pewno. Szczęście, że nas ta bieda ominęła.

Wojtek. — Co niektórym, to przecie woda wszystko zabrała: chatę... cały dobytek...

Hanusia. — Tak, co tu gadać, nam dobrze. Jesteśmy w szkole, uczymy się, a tamte dzieciaki, to chyba nie będą miały tak prędko szkoły.

Wojtek. — Pewno, że nie... Jak im woda zabrała...

Magdzia. — Pani mówiła, że ludzie zbierają pieniądze i posyłają do tych miejsc, gdzie powódź była.

Jagusia. — I jakie listy piękne piszą, aż mi się na płacz zbierało...

Hanusia. — A najładniejszy to był ten list tej jednej trzeciej klasy...

Jagusia. — Jak go pani czytała, to aż mi się...

Antoś (przerywa). — Na płacz zbierało... Ej, Jaga, tylko by ci się na płacz zbierało!

Michał. — Dużo oni tam z twego płaczu będą mieli!

Antoś. — Ale! Im pomocy i pieniędzy potra, nie żeby nad nimi płakano.

Hanusia. — Tamte dzieci to widać bogate, kiedy mogły pieniądze posyłać.

Wojtek. — Chyba... przecie teraz tyle potrzeba. A to zeszyty, a to książki... Ani śmiej ojcę mówić. Wiem, że niebardzo ma.

Franek. — I ja nie wiem, kiedy mi tato książki kupi.

Magdzia. — A jak tu bez książki! Pani coraz przypomina, że trza na dobre zacząć naukę... drugi miesiąc już chodzimy do szkoły...

Michał. — Ani wiemy, jak to będzie (milczenie).

Marysia (wchodzi). — Czego tak markotni stoicie?

Wszyscy. — E... tak...

Jagusia. — Bo mi się na płacz zbierało, jak pani o tych powodzianach mówiła...

Marysia. — Tobieby się na płacz nie zbierało, Jaguś! Co tu płakać! Pomóc tra, dać, ile kto może i już.

Franek. — Tak ci się prędko wymówiło. Ino skąd te pieniądze wziąć?

Magdzia. — Właśnie mówimy, że niewiadomo, na co pierwszej tatula prosić. Przecież książka polska koniecznie potrzebna.

Michał. — A do rachunków to nie? Jabo strasznie lubię rachunki z książki robić. Zawsze więcej zadań zrobię, niż pani zada.

Wojtek. — No, to polska książka i rachunkowa i zeszyty — i teraz ta powódź...

Marysia. — Toście się dopiero rozjęczeli — stękają, a stękają! Przecież wiedzieliście, że jak się wakacje skończą, trza będzie książki kupić.

Antoś. — Wiedzieć, tośmy wiedzieli, ale co z tego?

Marysi. — Jakto co? Zbierać trza było...

Magdzia. — Zbierać? Kpisz, Maryś, czy co? Cóż, ty, za wzbierane pieniądze książkę masz?

Hanusia. — Mocnaś do przyganiań, Maryś. Dobrze ci gadać, jak masz już książkę polską.

Marysia. — A mam.

Jagusia. — Bo ci matka kupiła.

Marysia. — Ani, ani... gdzieby moja matusia mogła! Toć wiecie, że nic własnego nie mamy, matusia u różnych gospodarzy na wyrobku. W zeszłym roku pamiętacie chyba, że cały rok nie miałam książki.

Jagusia. — A i prawda. Do mnie chodziła lekcje odrabiać. A ja rada byłam. Mocniejsza ona odemnie, to się przy niej przyuczyłam.

Marysia. — Ależ dokuczyła mi ta niewygoda! Przysięgam sobie, że w tym roku własną książkę będę miała. No i mam!

Basia (wbiega). — Wiecie? Maryś dała pani na tych powodzian całe pół złotego!

Maryśka. — A ciebie nikt nie prosił, byś zaraz z gębą leciała.

Basia. — Prosił nie prosił... Widziałam, to i mówię.

Jagusia (zdumiona). — Nie! Słuchajcie, ludzie! I na książkę polską i na zeszyty i na powodzian pół złotego!..

Marysia. — Czego tak wydziwiasz, Jaga? Przysięgam sobie w zeszłym roku, że sobie na zeszyty i książki zbiorę.

Wojtek. — Kpisz z nas, Maryś! Ano, nie jesteśmy tacy głupi.

Franek. — E, i gadać nie warto... Nic innego, tylko matka ci dała.

Marysia. — I na powodzian dała? Przecie o powodzi pani dziś dopiero mówiła.

Michał i Antoś. — To prawda...

Marysia. — Widzicie. Cóż to? Tyle razy wam nakłamałam, że mi nie wierzycie?

Wojtek. — To nie. Rzetelna z ciebie dziewczyna.

Marysia. — Więc wierzycie, że nie kłamię?

Antoś. — Bo mówisz, że za własne... A czy kto z nas ma własne pieniądze? Toć wszystko rodzice kupują.

Hanusia. — Jak nawet latem zbierałam jagody i grzyby i nosiłam letnikom, to też oddawałam całe pieniądze matusi.

Wszyscy. — I ja, i ja, i ja...

Marysia. — I nigdy wam matka nie dawała kilka grosików na łasowanie?

Jagusia. — Zawsze dawała, ale co to..

Magdzia. — Też jest o czym mówić... Kilka groszy na bułkę białą albo na cukierek... Za to książki nie kupisz...

Franek. — Pewno...

Marysia. — A ja za to kupiłam.

(Milczenie). — Pewno — za jedne pięć groszy nie. Ale przecież codziennie chodziliśmy na jagody, a potem na grzyby. I zawsze, kiedy oddałam matusi pieniądze, dawała mi coś... Tu dwa grosze, tam pięć... czasem nawet całą dziesiątkę. A ja myślałam, ciągle myślałam o książce... chowałam te grosze... Raz powiedziałam sobie: nie wydom! i nie wydołam!

Franek. — Mnie na odpust całe 30 groszy matka dała — na organki.

Michał. — mnie też.

Antoś. — Mnie 15... tom sobie świstawkę kupił. (Milczenie.)

Magdzia. — Z tych groszy kupiłaś sobie książkę?

Marysia. — I zeszyty... i ołówek... i papier do rysowania. I na powodzian... Jak pani o tej biedzie opowiadała, to mię tak coś ścisnęło...

Jagusia. — A mnie się aż na płacz zebrało...

Franek (trząca Jagusię). — Ii... tam... Nie, w głowie mi się nie chce pomieścić!

Antoś. — Z takich groszy!

Marysia. — A cóż to! Zapomnieliście, że ludzie mówią: «Grosz do grosza, a będzie kokosza».

Wojtek. — Mówią ludzie... Ale zawsze mi się zdawało, że to ina takie gadanie.

Hanusia. — A teraz Maryś ma kokoszę! I wiecie, gdacze ona, gdacze, aże mi w uszach dzwoni: «A głupie wy, dzieciaki, a głupie! Trza było myśleć i zbierać. Trza było...»

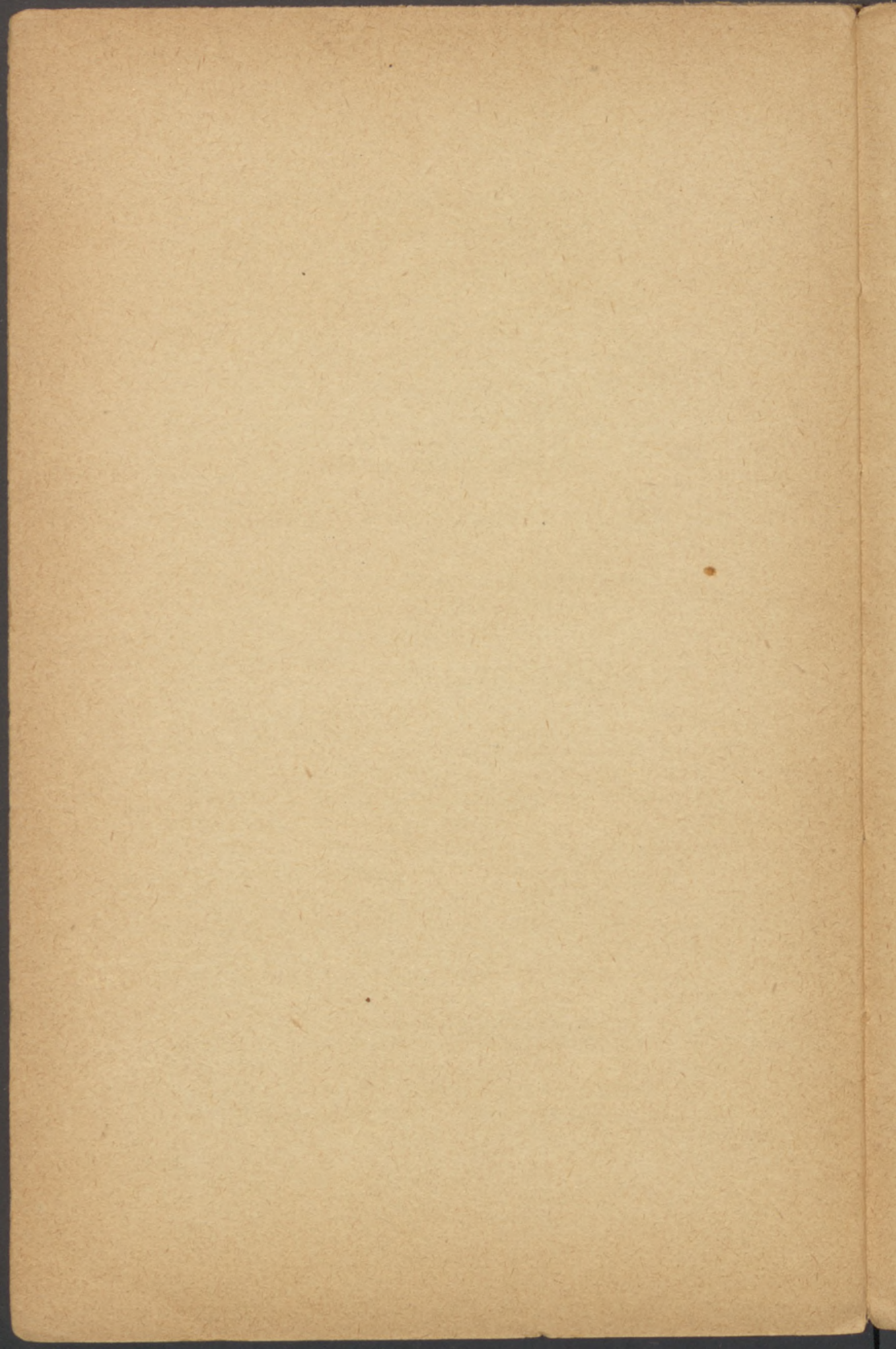
Basia. — No, teraz już zapóźno, ale niech ino lato przyjdzie!

Franek, Michał, Jagusia (razem). — Będzie się grosz do grosza zbierało!

Magdzia. — I takie ci we wsi gdakanie będzie!

(Śmiechy. Biorą się za ręce i śpiewają.)

- a) Bo to mówią ludzie prawdę:
Składaj grosz do grosza!
Ani się obejrzysz, człeku,
Jak będzie kokosza.
- b) W wielkiej kasie P.K.O.
Rosną złote z groszy,
Więc kto zbiera wciąż wytrwale,
Mieć będzie kokoszę.
- c) A że Oszczędności Święto
Dziś obchodzą wszędzie,
Więc niech każdy zapamięta
Z groszy kokosz będzie!
-



ST. GUZEK
Nauczyciel szkoły polskiej w Noeux.

BANKOWA KSIĄŻECZKA

Komedyjka w 1 akcie w 3 odsłonach.

OSOBY : *Józio* lat 12.
Franek lat 10.
Helenka lat 9.

Scena I.

Rzecz dzieje się w miasteczku. Pokój dziecienny, w którym znajduje się na prawo bliżej widzów stolik, na nim książki i zeszyty, obok stołu trzy krzesła. W głębi półeczka, na której stoją trzy niejednakowe skarbonki. Pozatem zwykłe umeblowanie pokoju, obrazki na ścianach. W chwili odstony Helenka czyta książeczkę, a Franek pisze zadanie.

Wbiega Józio rozpromieniony i wesoly.

Józio. — Ach, jaki ja dzisiaj szczęśliwy, naprawdę zadowolony.

Helenka (zdziwiona). — Ależ dlaczego ty taki zadowolony? Czy dostałeś coś dobrego od mamy?

Józio. — Eh, gdzieś jeszcze coś lepszego...

Franek. — Aha, już wiem, zapewne dostałeś dwa grosze od tatusia za przyniesienie gazety.

Józio. — To nie prawda. Więc kiedy chcecie już koniecznie wiedzieć to wam opowiem. Otóż dzisiaj po nauce proszę

mnie mój najlepszy kolega Staś, żebym mu towarzyszył załatwić pewien sprawunek.

Franek. — I ty poszedłeś?

Józio. — Naturalnie nie mogłem mu tego odmówić, bo jest moim najlepszym kolegą.

Helenka (zniecierpliwiona). — Ale cóż nas może obchodzić twój kolega? Najważniejsze gdzieś z nim był i dlaczego...

Franek (przerywa). — I dlaczego jesteś taki wesoły?

Józio. — Wyobraźcie sobie Staś zaprowadził mnie przed duży dom, na którym zobaczyłem napisane wielkimi literami *Bank*, i trzy litery *P.K.O.* Nie mogłem pojąć co to wszystko mogło oznaczać. Staś widząc że się tak gapię na ten napis tylko zaśmiał się i rzekł, że mi to wkrótce wytłumaczy. Staś pierwszy otworzył drzwi i wszedł, a ja za nim. Skoro tylko weszliśmy, zobaczyłem dużo ludzi starych i młodych, którzy trzymali jakieś książeczki. Pytam się Stasia czy czasem się nie pomylił. Czy mieliśmy przyjść do tego domu. Ale on zamiast mi odpowiedzieć, wyjął z torby jakąś książeczkę i pokazał mi tylko okładkę na której przeczytałem *Bank Polskiej Kasy Opieki*. Dopiero wtedy zrozumiałem co znaczą litery *P. K. O.* wymalowane na murze tego domu.

Franek. — O, ja bałbym się tam wejść.

Helcia. — A ja nie.

Józio. — Bądźcie cicho nie przerywajcie mi, bo nic nie powiem.

Helcia. — Już ci przerywać nie będziemy, tylko mów dalej.

Józio. — Później wyjął 3 złote i gdy przysła jego kolej zbliżył się do małego okienka podając książeczkę z pieniędzmi. Pan, który tam był, musiał być zadowolony, bo się uśmiechnął i pochwalił Stasia za to, że jest oszczędnym chłopcem.

Helcia. — A co później?

Józio. — Później ten pan wyciągnął rękę do mnie pewnie po książeczkę, a ja zawstydzony powiedziałem, że takiej książeczki nie mam, ale mam za to trochę pieniędzy uskładanych w skarbonce.

Franek. — Ej, ty głupi, dlaczego mu to powiedziałaś? On ci wszystkie pieniądze zabierze i nie mieć nie będziesz. Ale to ci dobrze, poco się przyznałaś.

Józio. — On mi zabierze, bo ja mu sam zaniosę.

Franek. — Co ty mówisz? Ty mu chcesz dać swoją skarbonkę?

Józio. — Skarbonki nie dam, tylko pieniądze, a kiedy będę potrzebował, to ten pan mi zwróci.

Helcia. — Tak, ale jak masz pieniądze w skarbonce to sobie zawsze weźmiesz ile będziesz chciał.

Franek. — I nie potrzebujesz się trudzić i prosić nikogo.

Józio. — Ale za to mi dadzą pięć i pół procentu od mych pieniędzy.

Helcia. — Co za procent? Nie rozumiem. Wy tłumacz.

Józio. — To znaczy, że gdy będę mieć na książeczce 100 złotych to po roku bank mi wypłaci pięć złotych i pięćdziesiąt groszy więcej, czyli że na książeczce będę mieć sto pięć złotych i pięćdziesiąt groszy. Staś mi mówił, że Bank P.K.O. daje bardzo wysoki procent.

Helcia (śmieje się). — Ha! ha! ha! Kiedy ty tyle pieniędzy nazbierasz?

Józio. — Nie bój się moja siostrzyczko, Staś też więcej od mamy nie dostaje a już ma na książeczce uskładane 27 zł. Słusznie mówi przysłowie, że «ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka».

Helcia. — I cóż myślisz robić?

Józio. — Ja nic innego, jak tylko jutro pójde do Banku, zażadam książeczkę jaką ma Staś i oddam moje pieniądze, a mam już 12 zł. 50 groszy w skarbonce.

Franek. — Biedna ta twoja skarbonka zupełnie się wypróżni.

Józio. — Zupełnie nie, ponieważ zostanie mi jeszcze 50 groszy.

Franek (drwiąco). — Dlaczego ci zostanie, ja, gdybym był na twojem miejscu, to zaniósłbym wszystkie, kiedy już tak wierzysz w ten twój Bank i w tego pana w okienku.

Józio. — Dlaczego Franiu ze mnie drwisz. Oddałbym z wielką chęcią wszystko, ale tam tylko przyjmują złote a nie grosze.

Helcia. — Słuchaj, Józio, ja mam do ciebie wielką prośbę.

Józio. — Jaką? Mów siostrzyczko.

Helcia. — Bardzo mi się podoba twoje postępowanie. Czy nie mógłbyś mnie zabrać do tego Banku co ma te 3 litery P. K. O. i ja chcę mieć książeczkę z Banku.

Józio. — Doskonale, bardzo mnie to cieszy i nie tylko ciębie ale także i Frania zabiorę.

Franiu. — O, mnie to już nie zabierzesz, bo wolę mieć pieniądze w swojej skarbonce, niż zapisane tam w jakiejś książeczce.

Józio. — Kiedy nie chcesz to nie. Ale kiedyś to pożalujesz i wspomnisz, że ci dobrze radziłem.

Franek (śmieje się). — Ha! ha! ha! jaki mądry, że wlaź tam do jakiegós domu i widział jak głupcy pieniądze dają. (Wychodzą.)

Scena II.

Franek (liczy pieniądze w skarbonce, naraz skarbonka upada mu z rąk. Pieniądze rozlatują się po podłodze. Franek je zbiera. W tem wchodzi Helcia trzymając w ręce książeczkę P.K.O.)

Helcia (wesoło). — Franiu czy chcesz zobaczyć moją książeczkę, którą dzisiaj dostałam z Banku P.K.O. ?

Franiu (zły, szuka pieniędzy i nic nie odpowiada).

Helcia. — Ale dlaczego mi nie odpowiadasz?

Franiu. — Ej nic, gdzieś mi się zapodziało 10 groszy i nie mogę ich znaleźć. (Szuka dalej.)

Helcia (ogląda swoją książeczkę i po chwili). — Nie ma?

Franiu. — Lepiej pomóż mi szukać zamiast się pytać.

Helcia. — Pomogę ci, ale widzisz, masz dobrą nauczkę, bo ciągle się pieniędzmi bawisz.

Franio. — Ja się nie bawiłem, tylko... (krzyczy) o, już mam, już mam! (wstaje).

Helcia. — Tylko co robiłeś?

Franek (wkłada pieniądze do skarbonki którą stawia na półce). — Tylko rachowałem i śmiać mi się chce, gdyż moja skarbonka jest pełna, a wasze są puste.

Helcia. — Ale się nie będziesz cieszyć, jak ja będę mieć więcej od ciebie.

Franek (zły). — Nieprawda, ty nie będziesz mieć więcej odemnie.

Helcia (zła, tupie nogą). — Muszę mieć więcej.

Franek. — Nie będziesz mieć więcej, bo coby ta gruba kupcowa powiedziała, gdybyś nie przychodziła do niej po cukierki i czekoladki i zapewne zamknęła by swój sklep.

Helcia. — O, te parę cukierków co sobie czasem kupię to przecież nie duży wydatek.

Franek. — Kupuj sobie lub rób co chcesz, a ja tymczasem pójdę się bawić z kolegami (wychodzi).

Helcia (siada przy stole i przegląda książeczkę. Po chwili mówi podnosząc oczy do góry). — Jak to miło mieć taką swoją książeczkę i mieć swoje pieniądze. Nawet wierzyć mi się nie chce, że to jest moja własna. Ale byłoby jeszcze lepiej, gdyby nie te słodziutkie cukiereczki i czekoladki. Jakie one smaczne i ładne. (Po chwili.) Eh, mam jeszcze 50 groszy, które dostałam od Wujcia więc pójdę sobie i kupię. (Wstaje.) Na ten raz mogę sobie pozwolić i tak wszystkiego nie wydam.

Józio (wchodzi). — No i cóż siostrzyczko? Jesteś zadowolona z tej książeczki?

Józio. — No to chodź ze mną do banku, mam już złotego więc go dam na książeczkę.

Helcia. — Ale i ja mam, lecz pójść z tobą nie mogę.

Józio (zdziwiony). — Dlaczego, Helciu?

Helcia. — Dlatego, że mi idzie ślinka na cukierki których już tak dawno nie jadłam.

Józio. — Jakto dawno, przecież dzisiaj dostaliśmy pudełko cukierków.

Helcia. — No tak, ale to nie są te same co u grubej kupcowej.

Józio. — Eh, marudzisz, rozrzutna z ciebie dziewczynka, myślałam, że się poprawiłaś, ale widzę że nie. Sądziłem, że jak będziesz mieć książeczkę to będziesz więcej oszczędna.

Helcia (błagalnie). — Józio, to już ostatni raz, ale pozwól tylko jeszcze dzisiaj.

Józio (wzrusza głową i śmieje się). (Wychodzą.)

Scena III.

Dzieci siedzą przy stole i wykonują zadania. Franek robi plamę na zeszytcie.

Franek (rozpaczliwie). — Oh! znów jedna plama więcej na zeszytcie. Co powie pan nauczyciel w szkole, znów mnie wykrzyczy i na środek postawi.

Józio. — Poproś mamy to ci kupi nowy.

Franek. — Tak, ty jesteś mądry, ty chcesz żeby mnie jeszcze mama ukarała. Już wczoraj mi zwróciła uwagę, że mam brudne, poplamione zeszyty i powiedziała, że już nowego nie dostanę.

Helcia. — To dlaczego nie uważasz i plamisz. Zresztą masz pełną skarbankę pieniędzy, to sobie idź i kup.

Franek. — Myślisz, że ja taki jak ty, zaraz brać pieniądze i kupować.

Helcia. — Naturalnie jak mi co potrzeba to idę i kupię, gdyż nie jestem takim skąpcem jak ty.

Józio. — I takim sknerą co ma pełną skarbonkę pieniędzy a boi się dać na książeczkę.

Franek. — Pilnuj ty tylko swojej książeczki a mnie daj święty spokój.

Józio. — Pewnie że będę pilnował. Ale to jednak brzydko być takim skąpcem i bojącym. Gdybyś złożył swoje naskładane pieniądze w banku to by ci dano za to procent i byłbyś pewniejszy, że ci nie przepadną lub kto ukradnie.

Franek. — Ja nie jestem skąpcem ani się nie boję.

Helcia. — Jak to się nie boisz, a twoje pieniądze w skarbonce, które nie chcesz zanieść do banku, a twój zeszyt którego kupić nie chcesz.

Franek. — Zeszyt to dostanę od mamy chociaż trochę pokrzczy, ale to nic. (Wstaje od stołu, ukradkiem wysypuje pieniądze do woreczka który wkłada do kieszeni i wychodzi.)

Helcia (pisząc). — Ale ten Franek jest uparty. Wciąż tylko przy swoim.

Józio. — Może kiedy się poprawi, ale boję się o jego pieniądze, bo ciągle się nimi bawi i lubi nosić przy sobie, gdyż nikomu nie wierzy.

Helcia. — Tak, to prawda, ale co robić z takim uparciuchem. Ja jestem lepszą od niego. Nieprawdaz Józio?

Józio. — Tak jest, troszeczkę lepsza.

Helcia. — Tylko troszeczkę? A czy nie byłam z tobą po książeczkę?

Józio. — Tak, byłaś, ale nie widzę żebyś z tej książeczki wiele korzystała.

Helcia. — O, kłamiesz, bo już chodziłam do banku kilka razy.

Józio. — Pewny jestem, że jednak ja mam więcej naskładane od ciebie, a przecież od rodziców jednakowo dostajemy.

Helcia. — Eh, chwalisz się. Pewnie nie jest tak jak mówisz.

Józio. — Jak nie wierzysz, to ci pokażę książeczkę, ale ty pokaż mi także swoją. (Wyjmuje ze stolika książeczkę.)

Helcia. — Zaraz ci pokażę. (Szuka książeczkę.)

Józio (pokazuje). — Widzisz, ja już mam 55 złotych.

Helcia. — O jej tak dużo!

Józio. — A ty ile masz? Pokaż. (Zagłada do książeczeki Helci.)

Helcia. — Ja mam tylko 9 złotych.

Józio. — I ty się nie wstydzisz mieć tak mało, a co powie mama, gdy jej pokażę swoją książeczkę i powiem jej, że ty masz tylko za cały rok uskładanych 9 złotych?

Helcia. — O, Józio, proszę cię nie mów tego teraz mamie, ja się poprawię.

Franek (wchodzi z płaczem).

Józio (przestraszony). — Co ci się stało, że tak płaczesz?

Franek (płacze i nic nie mówi).

Helcia. — Powiedz, może jesteś skaleczony?

Franek (płacząc). — Ja... ja... zgubiłem pieniądze moje, 50 złotych.

Józio. — Co ty zrobiłeś? Jakie pieniądze?

Franek. — Swoje nakładane pieniądze które włożyłem z woreczkiem do kieszeni i przy zabawie w chowanego zgubiłem.

Józio. — Widzisz, zostałeś ukarany za swoje skąpstwo i obawę. Mówiłem ci oddaj pieniądze na książeczkę do banku a tyś się ze mnie śmiał. Oszczędzałeś cały rok i nie masz teraz nic. Helcia, ponieważ jest rozrzutna, ma za cały rok na książeczkę tylko 9 złotych. Ja zaś, przeto, że wszystko oddawałem do banku mam już 55 złotych i 2 zł. 75 groszy procentu.

Franek (zdumiony). — Co, ty masz tyle pieniędzy?

Józio. — Tak, tak, tyle, jeżeli nie chcesz wierzyć to zobacz.

Franek (żałośnie). — Ach, teraz naprawdę żałuję, że ciebie nie słuchałem i nie wziąłem książeczki, ale ci przyrzekam, że jak tylko trochę uzbieram, to pójde po nią.

Helcia. — A ja, Józio, przyrzekam, że na drugi rok z pewnością ci dorównam.

Józio. — No dobrze, bardzo mnie to cieszy, że się poprawicie i będziecie oszczędzać. Musicie pamiętać o tem, że pieniądze oszczędzone umieszczone w bankach nie tylko, że są zabezpieczone i dają korzyść temu, który je zbiera, ale służą ku ogólnemu pożytkowi. Banki mają za zadanie ułatwienie ludziom gromadzenie drobnych sum, które, rozproszone, mają małą wartość, ale razem zebrane są siłą podtrzymującą nasz przemysł, rolnictwo i handel.

NIEZNANE KRAJE

(Jednoaktówka dla młodzieży)

OSOBY : *Jędrak*
Zbyszek
Marek (czarny)
Marek (biały)
Stach
Jurek
Edek
Władek
Maniek
Janek (noszący przezwisko „Kluska”)

(*Wszyscy chłopcy są w wieku od 10 do 13 lat*)

(Pokój o kilku łózkach w internacie dla chłopców. Przy każdym łóżku stoi stoliczek, na którym w nieładzie leżą różne «techniczne przyrządy», t. zw. scyzoryki, młotki, sznurki, gwoździe, farby, kawałki drzewa i t. p. narzędzia, wchodzące w zakres zainteresowań i umiejętności chłopców w wieku od lat 10 — 13. Po środku sceny siedzą: Jędrak, Jurek, Edek, Stach i Zbyszek, Marek czarny siedzi przy swoim stoliku i robi latający model. Marek biały maluje wykonaną przez siebie łódeczkę. Janek leży. Jędrak czyta na głos książeczkę).

Jędrak. — «Kiedy pod wieczór zbliżyli się do przełęczcy, Nelly usiadła nagle na zwałonym pniu drzewa i wyszeptwała ze łzami w oczach: — Już nie mam siły Dżek. Nie mogę iść dalej. Nogi mnie bolą, są całe w ranach».

Stach (z oburzeniem). — No naturalnie. Jak się, idiota, wybrał z babą to teraz ma — nogi ją bolą.

Jurek. — Cicho, *Stach*. Nie przerywaj.

Łbyszek. — Czytaj, *Jędrak*.

Jędrak (czyta). — «*Jacek* pochylił się nad nią. Rozumiał, że każda chwila zwłoki jest groźna. Sam był wyczerpany do ostatka i z trudem trzymał się na nogach. Szli już tak cztery dni i cztery noce, żywiąc się jedynie sucharami. Wiedział, że jeżeli nie pójdą do jakiegoś osiedla ludzkiego — grozi im śmierć z wyczerpania i głodu».

Janek. — Przez 4 dni same suchary. O rany...

Stach. — Jak ja cię przetrączę, to będziesz miał «O rany». Jak ty się wyrażasz!

Zbyszek. — Nie przeszkadzaj, *Kłucha*.

Marek biały (odwracając głowę od swojej łódki, do *Janaka*). — Wstydzilibyś się doprawdy. To takie ciekawe, a ty...

Jędrak (czyta dalej). — «Zbliżała się noc. Po niebie przewalały się ogromnymi zwałami chmury. Cała przyroda jakby się zmówiła przeciwko nim. Wiatr szarpał na nich podarte ubranie. Wodospad w oddali huczał monotonnie i groźnie. *Jacek* z trwogą rozejrzał się dokoła. *Nelly* zauważyła jego niespokojne spojrzenie i wstała nagle. Oparła się o jego ramię i, jakby odzyskawszy siły, rzekła z mocą — «chodźmy». — Ruszyli naprzeciw zbliżającej się ciemności». (zamykając książkę) Koniec części pierwszej. (Siada na łóżku po turecku. Wszyscy są zamyśleni. Przez chwilę panuje ogólne milczenie).

Zbyszek. — Ciekawe, co też z nimi dalej będzie?

Jurek. — Chyba zginą.

Stach. — No pewnie! Gdzie tam z taką smarkatą się do-wlecze. To ją boli, to zmęczona.

Jurek. — Zmęczony to i on też był. Nie bądź znowu taki bohater. Spróbowaliśmy iść cztery dni!

Janek. — Iść, jak iść, ale nie jeść! Te suchary to...

Jędrzek. — Idź. Ty zawsze ze swoim jedzeniem.

Edek. — A ja bym się bał. Dajcie spokój, wszystko dobrze, ale dzikie zwierzęta, to przecież nie to, co pies albo krowa. Już raz wtedy o mało ich nie zjadły. Ja kiedyś zajrzałem do książki naprzód, to ich jeszcze czarni tam napadną.

Jędrzek. — To nie poważnie zaglądać naprzód do książki. Możesz sobie robić, co ci się podoba, ale nam nie opowiadaj.

Marek biały (wstając od swojej łódki). — Wiecie, ten Władek nie może mi wyjść z głowy.

Jędrzek. — No już niedługo tu będzie. Pociąg przychodzi zdaje się o 7-mej.

Marek biały. — Tak, 6-ta 50.

Stach. — A poco właściwie Maniek po niego pojechał?

Jurek. — Jak to «poco», przecież to jego brat.

Stach. — Durny chłop z tego Władka. Jak ja bym uciekał, to już tak, żeby mnie nie złapali.

Zbyszek. — On też napewno tak chciał, ale mu się nie udało.

Stach. — A ja sobie tak myślę, że jeżeli Władek z powodu jednej dwójki dojechał do Lens, to Edek, jakby się parł, dojechałby napewno na koniec świata (*śmiech*).

Marek biały. — Dajcie spokój, to są piękne rzeczy takie podróże.

Janek. — Tak, tylko trzeba być mądrym i zabrać dużo jedzenia ze sobą.

Marek biały (marząco). — Ja to tak czasem, jak się położę to aż zasnąć nie mogę, tak sobie wyobrażam jakbym to ja, gdybym miał pieniądze, wybudował sobie taką dużą, prawdziwą łódź.

Jędrak. — I dokąd byś pojechał?

Marek biały. — Do Kanady. Do tych olbrzymich lasów.

Zbyszek. — No tak, łódką do Kanady, nie wiem czybyś dojechał, przecież to kawał drogi. To dalej niż Sekwaną do Hawru (chłopcy się śmieją).

Marek biały. — Nie bój się! Dojechałbym!

Janek. — Taki wariat jak biały Marek możeby i dojechał, o ileby go po drodze rekiny nie zjadły. Ciekaw jestem tylko, co onby tam jadł.

Jędrak. — A mnie ciągnie na południe Ameryki. Tam są takie ładne nazwy, na przykład Guatemala. Honduras, Colombo, Boliwia.

Edek (po cichu do Jurka). — Gdzie to wszystko jest?

Jurek. — No słyszałeś przecie mówił, że na południu.

Edek. — Aha!

Marek biały (usłyszał tę odpowiedź). — A toś mu dobrze wytłumaczył. Dużo z tego będzie wiedział. (Idzie do swego stolika i wyciąga z szuflady atlas). Chodźcie no tu!

(Wszyscy, prócz Marka czarnego, skupiają się koło Marka białego. Nawet Janek wstał i podszedł do nich).

Stach. — Kluska, poco wstałeś? Nie ma jeszcze kolacji.

Zbyszek (chce zabrać Markowi atlas). — Czekajno, daj mnie.

Marek biały. — A jakże! Patrzcie, tu są te nieznanne kraje.

Jędrak. — Pokaż mi, gdzie jest Kongo.

Marek biały. — Kongo jest tu, w Afryce. Tambym też pojechał.

(Przed oknami przechodzą Władek i Maniek. Władek ma opuszczoną głowę i nie patrzy w okna).

Maniek (woła z podwórza). — Servus! Jak się macie?

(Chłopcy zrywają się z hałasem i biegną do drzwi. Witają się wesoło z przybyszami. Władek jest speszony, ale uśmiechnięty i w głębi duszy zadowolony, że znowu jest w domu. Marek czarny wita się również z Władkiem i Mańkiem, poczym wraca do swojej roboty).

Maniek. — Co tu u was słycać nowego?

Stach. — To chyba wy tam opowiecie, a właściwie nie «wy», tylko «on», nasz wielki podróżnik (zwraca się do Władka). Jak tam było w dziewiczych lasach pod Lens?

(Władek milcząco podchodzi do swojego łóżka i, żeby nie zwracał na siebie uwagi, grzebie się w swojej szufladzie).

Maniek. — Daj mi spokój.

Edek. — Że też ty zawsze musisz komuś przygadawać.

Janek. — Słuchajcie, Władek pewno jest głodny. Może by tak poprosić wcześniej o kolację. Co?

Zbyszek (śmieje się). — Oho, Kluska w obronie zgłodniałych.

Jędrak. — Najlepiej będzie, jeżeli go zostawimy przez pewien czas w spokoju. Niech odpocznie i przyjdzie do siebie. Chodźcie do mnie, pogadamy trochę (chłopcy siadają na łóżkach).

Marek biały (zamyślony). — Pewnie, że taka ucieczka nie miała sensu...

Stach. — No, ja myślę.

Marek biały. — Ale jednak szkoda, że mu się nie udało. Zobaczyłby tyle ciekawych rzeczy.

Edek. — Dokąd on właściwie chciał pojechać?

Marek biały. — Wszystko jedno dokąd. W każdym razie gdzieś daleko.

Marek czarny (dotychczas milczący dłuwał przy swoim modeliku. Wstaje i podchodzi do wszystkich).

Stach. — O! Czarny Marek się ruszył. A ty dokądbyś pojechał? Pewno do murzynów. Oni by cię mieli za swego.

Marek czarny. — Słucham tak waszej gadaniny i przychodzę do przekonania, że jesteście wszyscy głupcy i fajtlapy.

Stach (złośliwie). — No, chyba za wyjątkiem ciebie, bo ty to jesteś mądry.

Marek biały. — Przestań Stach, ze swoimi docinkami. Marek mówi mało, ale zawsze dobrze.

Zbyszek. — Mów dalej, Czarny.

Marek czarny. — Myślałem dużo o ucieczce Władka i słuchałam waszych podróżniczych mrzonek i chciałbym, żebyście raz zrozumieli, że tym waszym marzeniom brak dwóch zasadniczych podstaw, to znaczy — celu i możliwości urzeczywistnienia.

Stach. — Zaczyna się filozofia.

Marek czarny. — Żadna filozofia. Chcę tylko, żebyście zrozumieli, że każdy wartościowy człowiek w swoich dążeniach nie tylko myśli o osobistych korzyściach, ale i o korzyściach, jakie może przynieść społeczeństwu. Jeżeli jednemu z nas poszczęści się nawet i uda mu się fuksem wyjechać gdzieś w dalekie, nieznanne kraje — nie przyniesie to nikomu żadnej korzyści, a właściwie nie da zadowolenia nawet jemu samemu.

Stach. — No, mnie by tam dało. Ale gadaj dalej.

Marek czarny. — Dobremu Polakowi, nie może dać satysfakcji wyłącznie jego osobiste zadowolenie.

Jędrzek. — Dobrze mówi.

Marek czarny. — Musimy przede wszystkim dążyć do tego, żeby głosić imię i sławę Polski poza granicami Państwa.

Marek biały. — Racja.

Zbyszek. — No racja, ale jak to zrobić?

Marek czarny. — Bardzo proste — przede wszystkim nie uciekać nie wiadomo dokąd od złych stopni, bo nikomu jeszcze z tego nic nie przyszło i nie myśleć o żadnych wyprawach do dziewiczych lasów, jak to się mówi, na wariata.

Jurek (przerywa). — A jak?

Marek czarny. — Tylko tak, żeby była z tego korzyść dla Polski, żeby wiedział o tym cały świat.

Zbyszek. — No na przykład.

Marek czarny. — Na przykład tak, jak kapitan Hynek i kapitan Burzyński, albo...

Edek. — No, ale oni balonem...

Marek czarny. — Wszystko jedno balonem, czy samolotem, czy łódką.

Marek biały. — No, to nie zupełnie wszystko jedno.

Marek czarny. — Zupełnie wszystko jedno. Chodzi tylko o to, żeby być «kimś», a do tego trzeba dwóch rzeczy: wykształcenia i pieniędzy. Jeżeli chodzi o to pierwsze, to Bogu dzięki jesteśmy wszyscy w szkole, uczymy się nieźle i jest nadzieja, że będą z nas ludzie.

Edek. — Ja mam piątkę z rysunków.

Marek czarny. — Pozostaje kwestia pieniędzy.

Janek. — No, z tym jest gorzej. O jej, jak mi się jeść chce.

Jędrek. — Klucha, nie przerywaj.

Marek czarny. — Jeżeli chodzi o kwestię finansową — jesteśmy wszyscy strasznymi dzieciakami.

Zbyszek. — Bo co?

Marek czarny. — Bo nie oszczędzamy. A cały świat wie teraz, że podstawą dobrobytu jest oszczędność. Nawet Pan Prezydent Mościcki powiedział: «Naród, w którym oszczędzanie stało się przyzwyczajeniem każdego obywatela, buduje swe gospodarstwo na najtrwalszym fundamencie».

Jędrek (zamyślony). — Tak.

Marek czarny. — Zapytanie Kluski, co Marek będzie jadł w Kanadzie, nie jest takie głupie, jak się wam wydaje.

Stach. — No pewnie, jeżeli chodzi o jedzenie, Klucha nigdy nie mówi głupio (chłopcy się śmieją).

Marek czarny. — Chodzi mi o to, że wyprawa bez pieniędzy będzie zawsze tylko awanturniczą przygodą, która się albo uda, albo nie, i niczym więcej. Jeden przykład już mamy (spogląda w stronę Władka).

Zbyszek. — No więc co mamy robić?

Marek czarny. — Zaraz wam powiem. Wszystkie szkoły założyły sobie Szkolne Kasy Oszczędności. Wszyscy uczniowie składają tam swoje osobiste pieniądze, a co my? (ogólne milczenie).

Edek. — Jakież my znowu mamy pieniądze?

Zbyszek. — No, dajmy na to, Kluska codziennie przejada ze 20 sousów na lody (ogólny śmiech).

Janek obrazony J. — Nieprawda.

Stach. — No, no, nie wykręcaj się. Znamy cię.

Marek czarny. — Nie pora teraz na kłótnie. Dawno już chciałem poruszyć tę sprawę. Najwyższy czas żebyśmy się zebrali wszyscy i założyli sobie naszą szkolną kasę. Z pieniędzy, które nam przysyłają z domu, większą część możemy odkładać do Banku P.K.O. Sami nie wiemy, na co je właściwie wydajemy.

Stach. — Kluska to chyba wie (śmiech).

Jędrak. — Czarny ma rację.

Marek biały. — Zupełnie słusznie. Dopiero, jak się ma pieniądze można myśleć o podróżach. Bez pieniędzy są to rzeczywiście głupie marzenia.

(Władek zbliża się do zebranych i słucha uważnie, stopniowo się ożywiając).

Stach. — Zawsze mówiłem, że te wasze wyjazdy, to babskie bajdurzenie.

Jędrak. — No więc dobrze — musimy nie zwlekając przystąpić do rzeczy.

Marek czarny. — Przede wszystkim, czy wszyscy się zgadzają.

Chłopcy (wraz z Władkiem). — Oczywiście! Tak!

Marek czarny. — A więc musimy, powziąwszy niezłomne postanowienie regularnego oszczędzania, założyć naszą Szkolną Kasę Oszczędności według wszelkich prawideł, to znaczy wybrać zarząd, przyjąć statut, jednym słowem załatwić wszelkie formalności prawne. Ktoś musi się tym zająć.

Jędrrek. — Ty.

Wszyscy. — Tak, tak. Czarny.

Marek czarny. — Dziękuję wam za to, że mi ufacie. A zatem jutro w szkole wystąpię z naszym wnioskiem u pana nauczyciela.

Janek. — No dobrze, ale co my z tego będziemy mieli?

Jurek. — Klucha znów zaczyna.

Marek biały. — Czekaście. Ja z nim pogadam (do Janka). Słuchaj Kluska, nie wierzę, żebyś nie miał swoich ukrytych marzeń poza jedzeniem. Każdy z nas je ma. Taki Edek, któremu ciężko idzie nauka, marzy, żeby zostać sławnym malarzem. Marek czarny marzy o Politechnice. Każdy ma swój świat, w którym żyje, swój nieznan kraj, do którego dąży. Dotychczas jednak byliśmy garstką chłopów, którzy nie wiedzą, jak dojść do tego, czego chcą. Od dziś będziemy ludźmi dorosłymi. Każdy z nas będzie dążył do tego, żeby jaknajwięcej zaoszczędzić i każdy z nas, czując, że ma w Banku P.K.O. odłożone pieniądze, będzie z większą wiarą myślał o zrealizowaniu swoich marzeń.

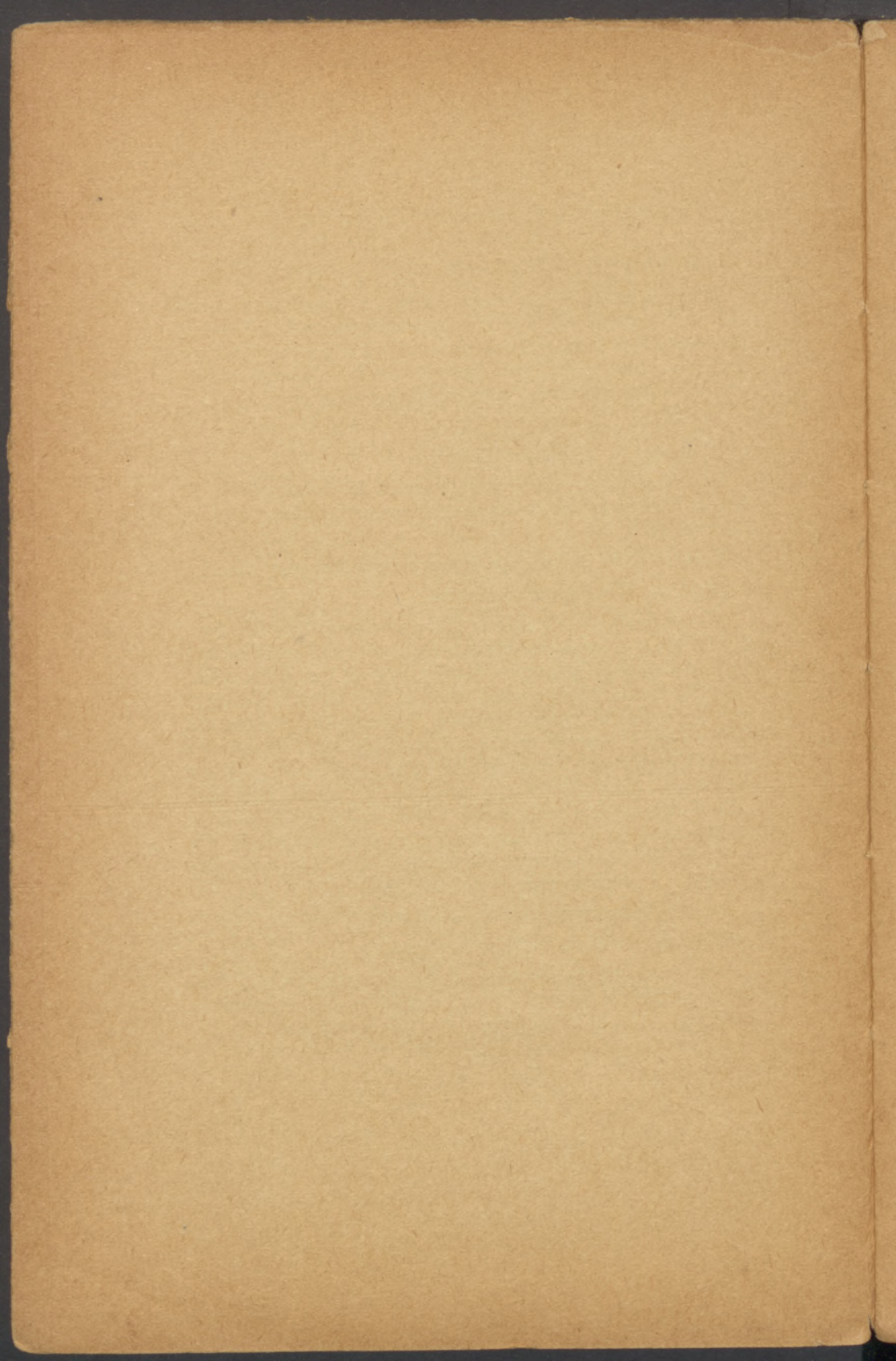
Jędrrek (klaszcząc w dłonie). — Brawo, Biały!

Wszyscy, — Biały i Czarny! Brawo!

Marek czarny. — A więc, chłopcy, oszczędzajmy i budujmy przyszłość naszą i Polski. Zgoda?

Wszyscy (wstając, wołają). — Zgoda! Zgoda!

K u r t y n a.



TOMEK CZY ROMEK ?

(Jednoaktówka dla młodzieży)

OSOBY : *Tomek* — chłopiec małomówny, zamknięty w sobie, spokojny. Ubrany skromnie, ale czysto. Nie narzuca innym swego zdania. Znać, że posiada wyrobione zasady i poglądy. Wie, czego chce.

Romek — pewny siebie, ubrany z przesadną troskliwością, lubi trzymać prawą rękę w kieszeni i pobrzękiwać pieniędzmi. Ma głowę pełną doskonałych pomysłów, które nigdy nie dochodzą do spełnienia.

Staś
Jurek uczniowie
Władek
Tadzio

Zosia }
Hela } uczennice

Tłum uczniów i uczennic.

Scena przedstawia izbę szkolną w godzinach popołudniowych. Dzieci schodzą się na zebranie, zwołane specjalnie dla założenia Koła Sportowego. W chwili, gdy kurtyna rozsuwa się, na scenie nie ma nikogo. Po chwili zaczynają wchodzić

chłopcy i dziewczynki (może ich być dowolna ilość), a wśród nich Jurek i Staś. Gdy inni rozchodzą się po klasie, siadając w ławkach, Jurek i Staś idą do tablicy. Podczas ich rozmowy coraz to ktoś wchodzi, wita się i zajmuje swoje miejsce.

Jurek. — Przede wszystkim musimy ustalić porządek dzienny. Bierz kredę i pisz!

Staś. — A poco porządek dzienny? Będziemy sobie gadali bez porządku.

Jurek. — Gadasz głupstwa! Bez porządku nic się nie może udać! Musimy przecież, organizując nowe szkolne stowarzyszenie, przeprowadzić dyskusję zasadniczą, wybrać Zarząd i omówić plan działania. Jeżeli nie ustalimy, co ma być zrobione i w jakiej kolejności, to wszyscy będą gadali bez ładu i składu i nic z naszego zebrania nie wyjdzie. Pisz!

Staś. — No to piszę (pisze sylabizując głośno) «Zebranie specjalne w sprawie zorganizowania Koła Sportowego Szkoły w Ostricourt.

Jurek. — Podkreśl to grubą linią!

Staś. — Kiedy mi się kreda sypie!

Jurek. — To weź inny kawałek.

Staś. — Kiedy nie ma!

Jurek (wołając na całą klasę). — Hej, chłopcy, kto ma kredę?

Jeden z uczniów. — Poczekaj aż przyjdzie Helka. Ona ma zawsze kredę, bo ją gryzie!

(*Wchodzi Zosia i Hela. Klasa wita je krzykami:*

«*Helka, oddaj kredę!*»!)

Staś. — Helka, masz kredę?

Hela. — Odczep się ode mnie!

Jurek. — Helka, kreda jest naprawdę potrzebna. Jeżeli masz kawałek, to daj. Nam jest potrzebna, a tobie to wyjdzie na zdrowie.

Zosia. — Ona się już oduczyła jedzenia kredy. Dajcie jej spokój.

Staś. — Ale napewno nosi przy sobie. Helka, przyznaj się!

(Wśród wybuchu wesołości Hela, milcząc wyciąga z kieszonki kawałek kredy. Staś wypisuje na tablicy napis: Porządek dzienny», potem kolejno następujące punkty: «Wybór przewodniczącego zebrania i sekretarza», «Dyskusja», «Wybór władz Koła Sportowego», Obrady nad statutem», «Wolne wnioski». Dyktuje mu te punkty Jurek. W tym czasie kolejno wchodzi nascenę wszystkie osoby grające. Każdy z wchodzących wita się głośnym «dzieńdobry» albo «cześć». Ostatni przychodzi Romek, niosąc ze sobą piłkę futbolową. Ktoś mu ją odrazu wybija spod pachy i piłka zaczyna latać po klasie).

Jurek (wchodząc na katedrę). — Koledzy, dość, zaraz zaczynamy obrady (starając się przekrzyczeć ogólny harmider i wesołość). Spokój! cisza! Jak Boga kocham, skończy się wybiciem szyby!

(W tym momencie silnie uderzona piłka trafia w szybę, albo w lampę, czy jakiś kałamarz i tłucze szkło. Robi się nagle cisza, gdyż wszyscy milkną w konsternacji. Z tej ciszy wyrывa się głos Heli).

Hela. — Sportowe zebranie się rozpoczęło!

Jurek. — Koleżanki i koledzy! Szkoła nasza oddawna odczuwała brak organizacji sportowej. Zebraliśmy się tutaj, żeby założyć Koło Sportowe, które będzie miało różne sekcje. Koledzy powierzyli mi zwołanie zebrania, które teraz właśnie doszło do skutku. Otwieram zebranie w sprawie założenia Koła Sportowego i zarządzam wybór przewodniczącego zebrania. Proszę stawiać kandydatury! (W klasie panuje milczenie).

Staś (ze swego miejsca). — No więc kogo proponujecie na prowadzącego zebranie?

Zosia (w ogólnej ciszy). — Niech Jurek prowadzi!
(Wszyscy wołają: «Jurek, Jurek, niech prowadzi zebranie»).

Władek (z miejsca). — Aby szybko, bo u nas na podwieczorek są ciastka z kremem.

Tadzio (z miejsca). — To nas nic nie obchodzi! Sprawy społeczne są ważniejsze od ciastek z kremem!

Hela. — Ale jeżeli krem jest bardzo dobry...

Jurek. — Proszę o ciszę! Jako wybrany przez aklamację, obejmuję przewodniczenie zebrania. Na sekretarza proszę Stasia. Stasiu, musisz prowadzić dokładny protokół zebrania. Tylko pisz wyraźnie i bez kleksów!

Staś (z miejsca). — Już piszę. Protokół przez «u» czy przez «ó».

(Połowa klasy wrzeszczy: «przez u», a druga — «przez ó». *Jurek* daremnie stara się uciszyć hałas. Wreszcie klasa ucisza się).

Hela (do *Władka* w ogólnej ciszy półgłosem). — *Władek*, *Władek*, a z jakim kremem te ciastka?

Jurek. — *Helka*, uspokój się! Dajcie jej tam kawałek kredy na uspokojenie. Proszę o ciszę! Nigdy nie widziałem tak niesfornego społeczeństwa! Otwieram dyskusję w sprawie zorganizowania naszego Koła Sportowego, Kto się zapisuje do głosu?

Staś. — Proszę o głos! Ja uważam, że bez sportu nie ma życia. Powinniśmy założyć drużynę piłki nożnej, drużynę siatków, sekcję bokserską. Także i parę kajaków przydałoby się mieć. Przytym większość nas nie umie pływać. To wstydy w dzisiejszych czasach nie umieć pływać! Przedewszystkiem dlatego, że można się utopić, a po drugie — nie ma zdrowszego sportu nad pływanie.

Tadzio (z miejsca). — Najzdrowszy jest sport narciarski! Musimy mieć koniecznie sekcję narciarską!

Władek (z miejsca). — A bez zaprawy lekkoatletycznej sam sport nie jest wiele wart. Musimy mieć przede wszystkim sekcję lekkoatletyczną!

Staś. — Proszę mi nie przerywać! Otóż nie ulega wątpliwości, że życie sportowe w naszej szkole trzeba zorganizować.

Trzeba, żeby ktoś troszczył się o nasze sprawy sportowe. Z jednej strony musimy wybrać kogoś z nas na prezesa Koła Sportowego. Taki prezes będzie kierował sprawami gospodarczymi Koła. A oprócz tego musi być ktoś z nas wybrany na kapitana sportowego. Kapitan sportowy będzie pracował nad samym sportem, to znaczy przeprowadzał różne treningi i zawody. Tak więc lepiej powierzmy opracowanie statutu specjalnej komisji. Do komisji tej muszą przede wszystkim wejść przyszły prezes i przyszły kapitan. Muszą oni wejść także do innej komisji, która będzie się nazywała komisją gospodarczą i zajmie się zebraniem odpowiednich środków na zakupienie pierwszych, niezbędnych przyrządów sportowych. Bardzo trudne będzie zadanie tej komisji, bo przecież musi ona wystarać się o pieniądze. Bez pieniędzy nic nie zrobimy.

Jurek. — Kto prosi jeszcze o głos?

Władek. — Ja proszę!

Jurek. — Udzielam głosu Władkowi.

Władek. — Ja się zgadzam na to, żeby był sport w naszej szkole, ale samiście powiedzieli, że na to potrzeba pieniędzy. No więc bardzo ciekaw jestem, skąd my te pieniądze weźmiemy? Ja, jak chcę kupić sobie drugie ciastko, to już forsę na to nie mam!

Tadzio (krzyczy). — Proszę o głos!

Romek (krzyczy). — Proszę o głos!

Helena i Zosia — my też o głos!

Jurek. — Wszystkim naraz nie mogę udzielić. Kto był pierwszy?

Tadzio (wstaje). — Władek powiedział, że na ciastka brak mu pieniędzy. To bardzo możliwe, bo jest łakomczuchem. Ale na sport muszą się pieniądze znaleźć. Ja proszę, żeby zabrał głos Tomek. On jest prezesem Szkolnej Kasy Oszczędności i powinien najlepiej wiedzieć, czy można dostać pieniądze na ten cel.

Romek. — Ja oddaję na rzecz Koła Sportowego tę moją piłkę futbolową, a także mój kajak. Trzeba go tylko naprawić.

Jurek. — W imieniu koleżanek i kolegów dziękuję. Piłka jest dobra, ale co do kajaka, to wiadomo wszystkim, że cieknie jak sito.

Romek. — Ja też mówię, że trzeba naprawić!

Hela (wstaje). — (Jednocześnie). My uważamy, że prezesem Koła powinien zostać Romek, bo zna się na sportach. A tym kapitanem sportowym, to niech najlepiej będzie Tadzio, bo każdy wie, że go dogonić nie można. Tylko niech się z nikim nie bije. I pytamy was, czy będzie sekcja dla dziewczynek? My chcemy także pływać i jeździć na nartach. Możemy zato szyć koszulki i spodenki sportowe dla wszystkich.

Jurek. — Kto jeszcze prosi o głos? No kto jeszcze? Tomek, czy nie masz nic do powiedzenia? Wszyscy czekają, co powiesz o naszym planie...

Tomek. — Ja jestem za utworzeniem Koła. Każdy, kto zapisze się do koła, powinien składać powiedzmy 5 sousów tygodniowo. Jeżeli będziemy mieli 50-ciu członków, to już można kupić na spłaty siatkówkę. W imieniu S.K.O. oświadczam, że przy nabywaniu artykułów sportowych na spłaty, mogę poręczyć u kupca. A co do kajaków, to możemy je budować sami w ciągu zimy i wiosny. Wypadnie bardzo tanio. Są przecież doskonałe podręczniki, jak samemu zrobić kajak.

Jurek. — Kto chce jeszcze zabrać głos?

Włodek (wstając). — Ja jednak ciągle jeszcze nie rozumiem, skąd będą pieniądze. Skąd każdy z nas weźmie choćby i te 5 sousów tygodniowo? Przecież każdemu z nas brak jest pieniędzy. A nawet choćby się te 5 sousów tygodniowo znalazły u każdego, to ile będzie razem? Najwyżej 2,5 franka. Niech nam Tomek wyjaśni, w jaki sposób chce zebrać potrzebne pieniądze.

Tomek. — Proszę bardzo, służę wyjaśnieniami. Każdy z nas dostaje śniadanie do szkoły. Jeżeli zgodzi się brać skrom-

niejsze śniadanie, prosząc, żeby mu zamiast tego dano 5 soursów tygodniowo na cele sportowe, to napewno takie 5 soursów dostanie. Jeżeli w domu pieniędzy nie ma, to musi sobie poradzić sam. Jeden może hodować gołębie i króliki i mieć z tego dochód. Inny może hodować własne warzywa i kwiaty. Zarabiać można i robotami koszykarskimi, i zbieraniem jagód i grzybów albo ziół leczniczych, albo pomagając starszym przy robocie. Jest mnóstwo sposobów zarabiania. Jeżeli się będzie oszczędzało na wszystkim, to bez trudu każdy odłoży daleko więcej niż 5 susów tygodniowo. A teraz proszę obliczyć, co może zebrać 50-ciu członków Koła Sportowego? Otóż w ciągu pierwszych dwóch lat istnienia Koła zbiorą oni tygodniowo po 2 fr. 50, czyli w ciągu 104 tygodni, 260 fr. Bardzo możliwe, że Koło Sportowe otrzyma prócz tego jakieś darowizny w postaci pieniędzy, albo przyborów sportowych od rodziców i od starszych przyjaciół. (Tomek siada. Wszyscy biją brawo. Słychać okrzyki: «260 fr., doskonale powiedział. Tomek to jest głowa»).

Jurek. — Poddaję pod głosowanie wniosek, czy zakładamy Koło Sportowe?

Wszyscy (chórem). — Zakładamy, zakładamy.

Jurek. — Proszę o spokój. Kto jest za założeniem Koła Sportowego niech wstanie!

(Wszyscy wstają, prócz Władka, który zasnął w swojej ławce, tak że go doskonale widać, a nawet słychać jak chrapie).

Jurek. — Jeden jest przeciwny. Władek, nie chcesz Koła Sportowego? (Ogólna wesołość).

Władek (obudzony kuksańcami). — O co chodzi?

Jurek. — Aha, obudziłeś się! Czy jesteś przeciwny?

Władek. — Nie, tylko Tomek tak długo mówił... Czy już skończyliście narady?

Jurek. — Zaraz skończymy i będziesz mógł pójść sobie do twoich ciastek z kremem. Ogłaszam, że jednogłośnie uchwa

lono zorganizowanie Koła Sportowego. Przystępujemy teraz do wyboru przyszłego prezesa i przewodniczącego komisji organizacyjnej. Proszę podawać nazwiska!

Głosy z tłumu. — Niech Jurek będzie prezesem! Nie, niech będzie Tomek, bo on jest najmądrzejszy! Niech Romek będzie prezesem! Romek ofiarował nam piłkę futbolową! Ale Tomek ma lepszą głowę! Do sportu głowa jest nie potrzebna! Bez dobrej głowy nawet w sporcie nic zrobić nie można! Romek! Tomek! Romek! Tomek!

(Wszczyła się hałas. Jedni krzyczą «Romek», drudzy «Tomek»)

Jurek (ucieszając zebranie). — Słyszę, że postanowiono dwie kandydatury. Moja nie wchodzi w rachubę. Ja nie mogę prowadzić Koła Sportowego, bo prowadzę koło Ligi Morskiej i Kolonialnej, więc już nie mam czasu. Wobec tego dla omówienia tych dwóch kandydatur, czyli Romka i Tomka, proszę, żeby Romek i Tomek opuścili nasze zebranie. Zaprosimy ich tutaj za chwilę.

(Tomek i Romek wychodzą)

Władek. — Proszę o głos w sprawie prezesa! (Jurek kiwa mu głową). Więc ja proponuję, żeby na prezesa wybrać Romka. Jego rodzice mają duży dom z ogrodem i ładnym gospodarstwem. Dobrze jest mieć prezesa takiego, który w razie potrzeby może łatwo dostać pieniądze. Wiemy też wszyscy, że Romek chciałby zostać jakimś prezesem. Będzie z wyboru bardzo dumny i przez wdzięczność postara się napewno być dobrym prezesem. Zobaczycie, że mu to bardzo pochlebi, jeżeli go wybieriecie! Będzie się trochę pysznił, ale to przecież nikomu nie szkodzi!

Hela (z miejsca). — On będzie codziennie dawał Władkowi jedno ciastko z kremem! (Wśród ogólnej wesołości Władek siada).

Tadzio. — Ja proponuję, żeby prezesem Koła został Tomek. Zawsze mądrzejszy będzie bardziej użyteczny, niż ten bogaty. Poza tym, o ile wiem, to Romek nie należy do S.K.O., a więc nie oszczędza, a rozum, mają przecież tylko ludzie przeczni. Prawdziwy użytek, przynoszą społeczeń-

stwu ludzie z rozumem i z silnym charakterem. O Romku nie możemy nic złego powiedzieć, ale o Tomku wiemy napewno, że ma rozum i wolę. Dlatego głosuję za Tomkiem, który tak doskonale prowadzi naszą S.K.O. i wogóle propagandę oszczędnościową.

Wszyscy (chórem). — Tomek! Tomek! Niech Tomek będzie prezesem!

Jurek. — Kto jest za Tomkiem — niech wstanie! (Wszyscy wstają oprócz Władka, który znowu zasnął). Słuchajcie, zachowajcie się cicho, bo Władek znowu zasnął, a ja chcę mu zrobić kawał. Wysuńmy się więc bez hałasu, niech tu zostanie i śpi. Idziemy powiedzieć Tomkowi, że jest wybrany! Zamykam posiedzenie!

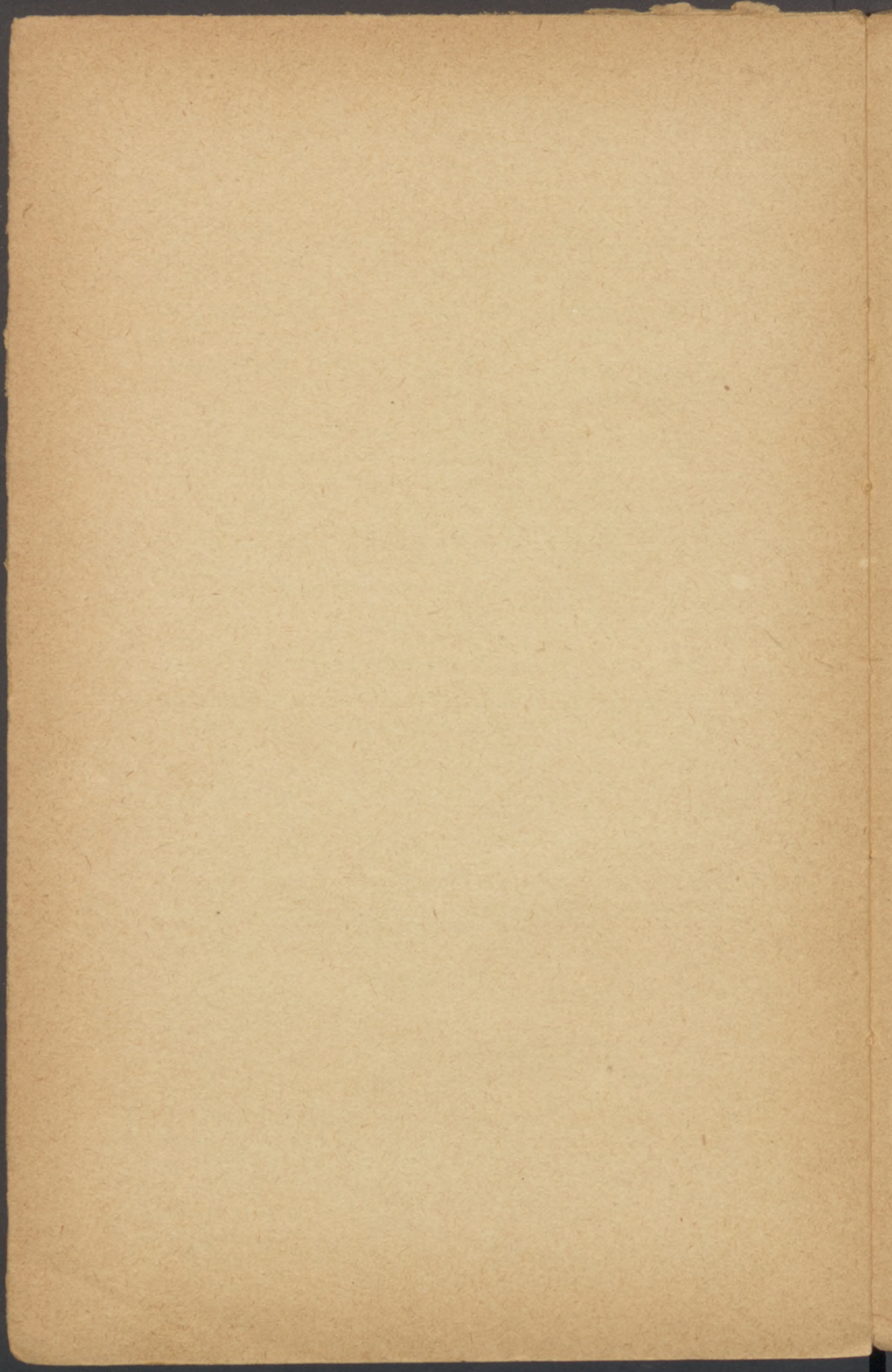
(Wszyscy po kolei pocichu wychodzą).

Jurek. — Staś, nie zapomnij protokołu!

Staś. — Nie, jest tutaj. I piłkę futbolową zabieram.

Władek (zostawszy sam, śpi oparty na ławce, potem nagle się budzi). — O jej, przespałem moje ciastka z kremem (wybiega).

Z a s ł o n a.



MICHAŁ TUNE
robotnik z Courbevoie (Seine).

REEMIGRANCI

(Sztuka w dwóch aktach)

Akt 1-szy (dzieje się we Francji)

Akt 2-gi (dzieje się w Polsce)

OSOBY : Rolnik — *Aleksander*
jego żona — *Zosia*
Rzemieślnicy — *Andrzej, Józef*
Robotnicy — *Stasiek i jego narieczona*
Wandzia.

STATYŚCI :

były prezes we Francji, były sekretarz we Francji, burmistrz miasta, ksiądz paraf., nauczyciel.
Delegacja rzemieślników, komisarz policji, orkiestra ze sztandarem, duch Marszałka Józefa Piłsudskiego (w maciejówce, oparty na szabli).

AKT I.

Scena 1-sza

Aleksander. — Zocha, wiesz, com postanowił? Nie podpisujem nowy kontrakt. Pojedzیم do Polski. Grosza zaoszczęd-

dzonemu mamy, podróż do kraju nie zapłacim, bo transport nas zabierze i w dodatku żywność na drogę nam dadzą, no i kilka francuzków też.

Zosia. — No, a jak zabierzem pieniędzy, jeżeli transportem jadziem? Bo w «Narodowcu» czytałam, że tylko ci mogą transportem jechać bezpłatnie, co bez pracy są, karty w porządku nie mają i są bez grosza.

Aleksander. — Ja ich tam mam gdzieś. — A ty, głupia babo, nie rozpuszczaj języka, że my mamy pieniądze; biedni jesteśmy, no, i basta. Rozumiesz? Zaskodzi ci, jak na darmo chę pojadziem, i kilka setek więcej nam w kabzy zostanie?

Zosia. — Ależ, człowiecze, ty myślisz, że Francuz zawsze tak hojnym będzie i wszystkim podróż zapłaci? Przecież dlatego transport wstrzymany, bo za dużo nas jedzie, a ten biedny, co pracy nie ma, ani grosza, ni karty musi tu na obczyźnie z głodu umierać? I my takim nędzarzom miejsca mamy zająć? Kiedybyśmy mogli sobie sami podróż zapłacić?

Aleksander. — Ty, głupie babsko o długich włosach i krótkim rozumie, byle nam dobrze i wygodnie było, a drudzy przeze mnie mogą i skonać.

Zosia. — Ja myślę, żebyśmy pieniądze nasze przez Bank polski P.K.O. przekazali, to o wiele pewniej i bezpieczniej, bo Niemiec reemigrantów rewiduje, a bez tego się nie obędzie, żeby nas Szwaba bez trudności tak łatwo puścił.

Aleksander. — A jakże! Jeszcze nam tego trzeba, by tym darmozjadom za swoje pieniądze jeszcze procent płacić? Jam już wykombinował, jak pieniądze zabierzem... o tak, w stare chusty włożym flachy z mlekiem, trochę mięsiwa i bochenek chleba — a do chleba włożym pieniądze. A największy szpicel na to nie wpadnie, że my w tym tobołku pieniędzy wozim.

Scena 2-ga

Józef. — No, jak tam Andrzeju, dokąd jeszcze będziem tu tak biedy klepać? Ja ci mówię, że to jest wykluczone, żebyśmy teraz tu jako obcokrajowej pracy dostali, a ciężko nasz zaoszczędzony grosz topnieje.

Andrzej. — No, nie martw się brachu, jadzim do Polski, dziś właśnie dostałem list od byłego prezesa naszego związku, kolegi Rogowskiego, w którym pisze, że jeżeli chcemy być swój zabezpieczyć, musimy się jeszcze silniej organizować jak we Francji, w ten czas — możemy i pracy dostać lub długoterminowy kredyt osiągnąć na założenie warsztatów lub budowę, wcale nie tak smutno wygląda tam sytuacja. Naturalnie musimy trochę z punktu partyotycznego też inaczej się zapatrywać, bierzmy przykład od Francuzów, choćby nawet i komunistą był, ale ojczyznę swoją zawsze broni. My Polacy, jako nowo-odrodzony naród, i my robotnicy, którzy na obczyźnie trochę wiedzy i kultury czerpalim, tylko my możemy się naszej ojczyźnie przysłużyć, by przed nędzny kryzys się bronić, n. p., żądajmy żywszej rozbudowy i modernizacji kraju, rozszerzenia przemysłu, byśmy mogli z innymi państwami konkurować, jakto Japonia czyni.

Wtenczas nasz kraj zakwitnie i będziemy mieli Kanady, Ameryki lub Francję w Polsce, i nie będziemy więcej zmuszeni po świecie się wałęsać.

Józef. — Hm, — wobec tego, nie ma co, szykujmy się więc do podróży, bo szkoda tu dalej czasu daremnie marnować i w nędzy się dalej zapuszczać.

Stasiek. — I ja również otrzymałem list od byłego sekretarza tutejszego związku, który nam już wskazówki do powrotnej jazdy udziela, mianowicie: przedewszystkiem w porządku mieć wszystkie swoje papiery, wszelkie «certyfikaty» przez Konsulat zalegalizowane, oszczędności swe przez Bank P.K.O. przekazać, by nie być narażonym na jakiś wypadek. Aby zaś osiągnąć redukcję taryfy kolejowej trzeba się grupować we więcej osób, między sobą wybrać poważnego i energicznego naczelnika transportu, który załatwia wszelkie formalności, jak wiza, przekazanie pieniędzy, nadawanie bagażu etc. etc., potem przyjazd nasz telegraficznie zawiadomić. Wtenczas tak prezes, jak sekretarz wraz z tamtejszymi władzami nas na stacji oczekiwać będą i się nami zaopiekują.

Wanda. — Jeżeli tak, to ja też pojedę z Wami, bo ja również należę tu do związku, a jeżeli w kraju będę mogła

należć do związku, to «sawa». — Bo praca społeczna mnie się bardzo podoba; tam jest szkoła prawdziwa, szkoła życia, no i nic piękniejszego jak należeć do jakiegoś związku oświatowego, bo to zapowiedź lepszego jutra, Hej, (podskakuje z radości i poklaskuje rękami). Jadźmy do Polski, wiwat, niech żyje nasza droga Matka Ojczyzna! Wiwat, niech żyje Organizacja i praca!

(Kurtyna spada, za kurtyną imitacja ruchu kolejowego, odjazd ze śpiewem coraz ciszej, jak w oddaleniu):

Jedźcie kolej, jedźcie kolej
do Ojczyzny, do Ojczyzny jedźcie kolej;
tam będzie lepiej, — lepiej będzie jak
na obczyźnie).

(K o n i e c A k t u I.)

AKT II.

Scena 1-sza

Aleksander. — Nareszcie żeśmy przyjechali, (walizki i worek pozostawił i przechadza się w poczekalni), no, teraz trzeba jakąś furmankę szukać, któraby nas zabrała. Hej, jak tu smutno, ciemno, co Zocha? — to nie Francja. Hej, Zocha, gdzie masz tobołka naszego? (szukają).

Zosia. — O, Jezusie kochany, ta ja myślałam, żeś ty go zabrał, boś całą drogę tak go pilnował.

Aleksander. — Przecież tę dużą walizkę i ciężki worek wzięłam, tom myślał, że resztą, małymi pakunkami już sama sobie poradzisz.

Zosia. — O, rany Boskie, Matko Miłosierna, co teraz będzie, co poczniesz? Nasz ciężko zapracowany, grosz (łamiąc ręce, wybucha płaczem, szlochając mówi dalej), żeby to choć jakiś porządny znalazł, a może taki czerstwy chleb jeszcze świniom rzuca? Czy kto widział — 26.000 franków w taki sposób wozic? Nie prosiłam, żebyś pieniądze przez Bank

P.K.O. przekazał? Byś się poradził? Ale ty, jakieś głupi z kraju wyjechał, tak jeszcze głupszym przyjechał, zawsze od ludzi stronił, do żadnego Związku nie należał, gdziebyś był mógł się trochę wyrobić, trochę oświaty czerpać lub trochę inteligencji nabrać, nieszczęsna moja dola z tak głupim chłopem.

Ot popatrz, jak ładnie Józek, Andrzej, Stasiak i Wańdzia lub ci reszta ze związku do podróży się szykowali. Ich napewno taki los nie spotkał, jak nas, bo oni należeli do organizacji, oni się grupowali, choćby nawet i pieniędzy nie mieli, to nimi się opiekować będą w kraju.

Aleksander. — Niestety, już zapóźno, alem został ciężko karany, bo gdybym był należał do jakiegoś związku, to i ja bym był pieniądze swe przez Bank przekazał, a tak jam biedny jak dawniej, ni wiedzy, ni oświaty, a co najważniejsze bez grosza, ot, jam człek nieszczęśliwy. (Słowa te wymawia z wielkim żalem na walizce siedząc, głową na rękach partą).

Scena 2-ga

(Za kulisami imitacja ruchu kolejowego, przyjazd grupy reemigrantów, śpiewają «Boże coś Polskę» z okrzykami «Witamy Cię Ojczyzno nasza, niech żyje nasza ukochana Polska»).

Andrzej (jako naczelnik transportu oddaje delegacji raport i przemawia): — Szanowna Delegacjo! Z wielką radością witamy was, z biciem serca przestąpieliśmy próg naszej odrodzonej Ojczyzny tu i widzimy przed sobą dowód łączności; bardzo radzi jesteśmy, że nas tu oczekiwano, w przyszłości damy dowód, że nasza wieloletnia tułaczka wyrobiła nas na dobrych i szczerych synów, dla kraju naszego, cośmy przez te lata na obczyźnie kultury, oświaty i praktyki nabyli, tymi zaletami chcemy do rychłej rozbudowy naszej kochanej Ojczyźnie się przysłużyć.

(Delegacja na baczność stojąc, orkiestra odegra «Jeszcze Polska», następnie w imieniu całej delegacji burmistrz miasta przemawia do przyjezdnych).

Burmistrz. — Kochani Bracia! Witamy was gorącym sercem, z prawdziwą polską gościnnością w naszym kraju, dziękujemy wam za waszą ofiarność, którą wykazaliście: bo gdy nasza ledwo odrodzona Polska jeszcze nie była w stanie was wyżywić, poszliście na tułaczkę w daleki świat, by odrodzoną Ojczyznę odciążyc, i by w świecie czerpać wiedzę i praktykę, którą na naszej ziemi dalej i korzystniej szerzyć będziecie. Niech więc Duch Polski was okrzepi i da wam świeżą siłę do dalszej owocnej pracy, ale chwała Bogu już u siebie, wy przyszli pionierzy! Cześć dalszej pracy!

(Kurtyna spada i z powrotem się podnosi. W głębi sceny ukazuje się postać Marszałka Piłsudskiego w maciejówce, oparty na szabli obydwoima rękami. Reżyser zaintonuje «Pieśń 1-ej Brygady»).

EDWARD POMORSKI

nauczyciel szkoły polskiej w Blanzy.

WYJAZD NA WYCIECZKĘ

(Sztuczka w jednym akcie, odznaczona na konkursie
Banku Polska Kasa Opieki w Paryżu)

OSOBY : *Ojciec*

Matka
Irenka, lat 13 }
Staś, lat 11 } ich dzieci
Jurek, lat 9 }
Ciocia
Kominiarz.

Scena I.

Matka. — No, moje dzieci, kończcie prędko obiad, gdyż musimy się przygotowywać do drogi!

Staś. — A tatuś?

Matka. — Tatuś przyjdzie z pracy dopiero za godzinę. Zostawiłam dla niego obiad. Jak tylko zje, zaraz wszyscy wyruszymy. Musimy więc być gotowi.

Jurek. — O, jak ja się cieszę! Od miesiąca myślę tylko o tej wycieczce statkiem!

Matka. — Ale ja nie wiem, czy wszyscy będziemy mogli wyjechać?! Pamiętajcie, że przed miesiącem ojciec obiecał was wziąć na wycieczkę po rzece, ale pod warunkiem, że bilety na statek kupicie z własnych oszczędności. Nie chcę w tej chwili sprawdzać, czy wszyscy macie potrzebne pieniądze — zrobi to za chwilę tatuś. Ja jednak wiedząc, że macie dziś wydatki, dam wam jeszcze po franku. Wstańcie już od stołu! (bierze torebkę i daje każdemu po franku).

Jurek. — Niech żyje mamusia!

Matka. — Oby tylko te pieniądze przysłużyły Ci się do dobrego! Irenko, pomóż mi sprzątnąć ze stołu.

Staś. — Niech mamusia się nie męczy, ja i Irenka wszystko pozanosimy.

Matka. — Dziękuję Ci, ale uważaj, żebyś czego nie rozbił.

Staś. — Jestem zgrabny, jak cyrkowiec.
(Irenka i Staś wynoszą naczynia).

Scena II.

Matka. — I cóż mi powiesz Jurku? Dlaczego się tak ucieszyłeś z tego franka? Zapewne ci go brakowało do sumy, potrzebnej na bilet?

Jurek. — Jakby to mamusi wytłumaczyć? Oczywiście, brakowało... chociaż może za bardzo się ucieszyłem... Jeden frank, to jest dużo, ale on mię zbawić nie może.

Matka. — Jakto, czyżby ci więcej jeszcze brakowało? Bilet kosztuje tylko 15 franków, a wyście dużo więcej powinni już sobie uskładać!

Jurek. — Tak, mamusiu, dostawaliśmy sporo pieniędzy, ale to tak trudno upilnować, żeby wszystkie chciały siedzieć w szkatułce.

Matka. — Ileż ci jeszcze brakuje, powiedz!

Jurek. — Czternaście franków.

Matka. — Czternaście, to znaczy nic nie masz, oprócz tego franka, coś przed chwilą otrzymał?!

Jurek (stoi ze spuszczoną głową, potem całuje matkę w rękę i przymila się). — Ale mię mamusia weźmie na wycieczkę, nieprawdaż? Ja od dzisiejszego dnia już naprawdę będę oszczędzał! Kupię sobie nową, mocniejszą skarbonkę, bo w tej nie da się nic uskładać (znów całuje matkę w rękę).

Matka. — Nie wiem, mój chłopcze, czy się to da zrobić. Ale jeżeli się tatuś zgodzi wziąć cię z nami, to ja się nie będę sprzeciwiała (wychodzi).

Scena III.

(Wchodzą Staś i Irenka.)

Staś. — Wiesz, Jurku, porachujmy teraz swoje pieniądze i odłóżmy po 15 franków na bilet.

Jurek. — Rachuj sobie sam, ja nie mam czego rachować.

Staś. — Jakto, nie masz wcale pieniędzy? A przecież tak dużo nieraz dostawaliśmy od rodziców!

Jurek. — Nie powiedziałem, że wcale nie mam.

Staś. — Ale w każdym razie starczy ci na bilet?

Jurek. — Powiem ci prawdę: mam tylko tego franka, com go po obiedzie dostał od mamusi. Jeżeliś ciekawy, przyjrzyj mu się dobrze, bo za pięć minut już go mieć nie będę — lecę do sklepu po cukierki. A co do wycieczki — nie martw się, bratku, o mnie... przecież mię samego w domu nie zostawią.

Irenka. — Bądź rozsądniejszy, Jurku, przynajmniej tego franka nie trać, bo jak się mamusia, albo tatuś dowiedzą, to naprawdę gotowi cię za karę w domu zostawić.

Jurek. — Już ty się o mnie nie bój: mamusia się za mną wstawi i tatuś się zgodzi wziąć z wami. Umiem ja sobie radzić i lepiej od was we wszystkim wygrywam. Przynajmniej zawsze najadałem się cukierków, ciastek i czekolady, a wy chowaliście otrzymywane pieniądze i teraz musicie je wydawać na podróż.

Irenka. — Pomyśl tylko, Jurku..

Jurek. — Jesteś nudna, jak flaki z olejem (podrzuca pieniądze do góry, łapie go i wybiega z nim na ulicę).

Scena IV.

(Irenka chodzi po pokoju zamyślona, Staś przynosi skarbonkę i liczy pieniądze).

Irenka. — Ach, jak mię ten Jurek martwi!

Staś. — Zmądrzeje i on, jak będzie miał tyle lat, co ja.

Irenka. — A ty ile masz pieniędzy, wolno o to zapytać?

Staś. — Mam 32 franki. Odrazu teraz odłożę 15 franków na bilet i 2 franki na nieprzewidziane wydatki na wycieczce, a resztę zamknę z powrotem w skarbonce (wyjmuje ze skarbonki i liczy).

Irenka (z wahaniem). — Stasiu, mam do Ciebie prośbę... czybyś...

Staś. — Mów, Irenko, co tylko będę mógł, wszystko dla ciebie zrobię!

Irenka. — Z mojej strony tylko prośba, ale czybyś nie mógł czegoś zrobić dla Jurka?... Żał mi go, że będzie musiał zostać w domu. Możebyśmy się złożyli oboje i daliśmy mu 15 franków na bilet.

Staś. — Jeżeli tylko jesteś pewna, że Jurek od tego dnia nie będzie od nas stale pożyczzał, to owszem — zgadzam się dać połowę.

Irenka. — Dziękuję ci bardzo, Stasiu, jesteś dobrym braciszkiem. Nie potrzebujesz jednak płacić połowy ceny biletu, dasz tylko 5 franków; ja zaś dam 10 franków, bo mam oszczędności więcej od ciebie.

Scena V.

Ojciec (wchodzi). — Dzieńdobry dzieci!

Irenka i Staś. — Dzieńdobry tatusiu! (Staś całuje ojca w rękę).

Staś. — Ach, jak to dobrze, że tatuś już przyszedł!

Ojciec. — A co, śpieszy wam się pewnie na statek?

Irenka. — My zawsze na tatusia z utęsknieniem czekamy; ale dzisiaj oczywiście bardziej się cieszymy, bo wspólnie pojedziemy statkiem na wycieczkę.

Ojciec. — To jeszcze należy zbadać, czy wszyscy pojedziemy.

Irenka. — O, niech się tatuś o to nie obawia (uśmiecha się porozumiewawczo do Stasia).

Matka (wchodzi). — A, jest już tatuś; zaraz ci przyniosę obiad (wychodzi).

Ojciec. — Gdzież jest Jurek, nie widzę go?

Staś. — wyszedł gdzieś przed chwilą i właśnie oboje z Irenką czekamy na niego, bo chcemy go przypilnować, by się ubrał do drogi.

Matka (wnosi obiad). — Zjadaj, ojciec, co jest, bo musimy ruszać w drogę. A wy dzieci, dlaczegoście się jeszcze nie przebrały? Możecie nie zdążyć, bo jak tylko tatuś zje obiad, zaraz ruszamy w stronę przystani. Ja już jestem gotowa, tylko spakuję jeszcze tę walizeczkę. (Irenka i Staś wychodzą do drugiego pokoju).

Scena VI.

(Ojciec je, matka pakuje walizeczkę; oboje rozmawiają)

Ojciec. — Cóż o naszych dzieciach sądzisz? Czy wszystkie pojadą?

Matka. — Czy pojadą, to od nas zależy. Jednakże nie wszystkie sobie na wycieczkę zasłużyły.

Ojciec. — A któreż z nich, pewnie Jurek nie ma pieniędzy?

Matka. — Tak, on. Jest to jednak nasze najmłodsze dziecko; nie wiem, czy możemy je sądzić na równi z innymi?!

Ojciec. — Ma już przecież dziewięć lat — można od niego wymagać, by się nauczył oszczędzać.

Matka. — Masz rację, ale Jurek jest chłopcem bardzo żywym i... nie chcę powiedzieć lekkomyślnym, lecz... wesołym i troszkę łakomym. Nic więc dziwnego, że pieniędzy w skarbonce utrzymać nie może, że ciągle potrzebuje pewnych zmian, a i łakocie na wystawach spokoju mu nie dają.

Ojciec. — Moja droga, zdaje mi się, że właśnie dla niego będzie dobrym lekarstwem pozostawienie go w domu; niech na własnej niedoli przekona się, jak to niewesoło jest, gdy się nie ma oszczędności.

Matka. — Ależ, zapłakałby się na śmierć!

Ojciec. — O, nie przesadzaj, przecież zaprosiliśmy ciocię do domu na czas naszej nieobecności. Nawet już chyba nadchodzi.

(Pukanie).

Scena VII.

Matka. — Proszę!

Ciocia. — Jak się macie, kochani! (witają się).

Ojciec. — Dzieńdobry ci, siostrze! Właśnie zaprosiliśmy

cię na dzisiaj do siebie, byś nam zechciała przypilnować domu i naszej najmłodszej pociechy.

Ciocia. — Chyba tylko domu, bo przecież wszyscy jeździecie.

Ojciec. — Niestety, nie! Jurek zostanie w domu, ponieważ nie wypełnił warunków.

Ciocia. — A jakież to warunki były do spełnienia?

Ojciec. — Przed miesiącem obiecałem dzieciom wycieczkę statkiem, ale pod warunkiem, że każde kupi sobie bilet z własnych oszczędności. Za chwilę sprawdzę, kto z nich zdobył sobie prawo do wycieczki; jednak mam już prawie pewność, że dwoje starszych pojedzie, a Jurek zostanie.

Ciocia. — O, to bardzo dobrze urządziliście! Tutaj bowiem we Francji mamy opinię ludzi lekkomyślnych, ludzi, którzy wszystko przejedzą, co zarobią, a o przyszłości nic nie myślą. Czas z tym zerwać i zacząć żyć, jak inne narody!

Ojciec. — Właśnie tą myślą się kieruję w wychowaniu moich dzieci. Ale otóż i Jurek!
(Jurek wchodzi).

Scena VIII.

Matka. — A ty gdzie tak chodzisz? Przywitajże się z ciocią!

Jurek (całuje ciocię w rękę). — Widziałem na ulicy, jak policjantowi koń dęba stanął, no i pobiegłem za nim aż do mostu, żeby zobaczyć, czy znów mu koń dęba stanie.

Ojciec (patrzy na zegarek). — Za kilka minut musimy już wyjść z domu. Teraz sprawdzę, kto z was pojedzie. Jurku, pokaż pieniądze na bilet!

Jurek (ze spuszczoną głową). — Ja tatusiu, jeszcze nie uskładałem tak dużo...

Ojciec. — A więc zostaniesz w domu. Ciocia godzi się przypilnować cię tutaj.

Jurek, — Ależ, mamusiu!...

Matka. — Nie spełniłeś warunków, chociaż oddawna o nich wiedziałeś, więc trudno — jechać nie możesz! (*Jurek ze schyloną głową odchodzi na bok*).

Ojciec. — Irenko, Stasiu!

Irenka i Staś (wchodzą). — Słuchamy! Ach, ciocia przyszła! (*Witają się*).

Ojciec. — Gotowi jesteście?

Irenka i Staś. — Tak, proszę tatusia!

Ojciec. — Pokażcie pieniądze na bilet. Ty pierwsza Irenko.

Irenka. — Oto książeczka Banku P.K.O., a na niej 70 franków. Chciałam podjąć z książeczki 15 franków, ale mi powiedziano, że muszę przyjść z tatusiem. A że będziemy teraz przechodzili obok P.K.O. więc pomyślałem sobie, iż wstąpimy tam na dwie minuty i wyciągniemy z kasy potrzebne pieniądze.

Ojciec. — Doskonale! Teraz ty Stasiu pokaż.

Staś. — Oto 15 franków, które wyjąłem ze skarbonki.

Ojciec. — Wspaniale! A więc bierzcie kapelusze, jedziemy we czworo. Ciocia łaskawie podejmuje się zostać z Jurkiem.

Irenka. — Jakto, Jurek zostaje?! Ależ, tatusiu...

Ojciec. — Jak sobie kto pościele, tak się i wyśpi! Wychodzimy!

Irenka. — Tatusiu, myślimy...

Ojciec. — Druga za kwadrans; statek nie czeka. Dowiedzenia ciociu! Jurek, bądź grzeczny i słuchaj cioci!

Ciocia. — Bądźcie spokojni, już ja go dobrze przypilnuję!

Matka. — Stasiu, weź tę walizeczkę i wychodźcie dzieci pierwsze! (Irenka i Staś wychodzą, matka całuje Jurka w głowę i wychodzi z ojcem).

Scena IX.

Ciocia. — No, Jureczku, nie masz się czego kwasić! Nie pojechałeś teraz, to pojedziesz innym razem, jak sobie uskładasz trochę pieniędzy. Nie trzeba wszystkiego tracić na cukierki i czekoladę, bo od nich tylko się psują zęby i żołądek. Rodzice wam i tak od czasu do czasu kupują łakocie, a pieniądze lepiej schować do skarbonki i coś sobie potem pożytecznego za nie kupić. (Prowadzi go do stołu). Chodźże, chodź, siądź sobie tu i przeczytaj jakąś ładną historię. Widzę, macie tu «Przygody Robinsona» i «Serce» Amicisa; a tu jeszcze coś ładniejszego, bo «O krasnoludkach i o sierotce Marysi» z ładnymi obrazkami. A wiesz, kto tę książkę napisał?

Jurek. — Maria Konopnicka.

Ciocia. — Bardzo dobrze. A tam jeszcze coś leży? «W pustyni i w puszczy» Sienkiewicza. Ho, ho — to wy tu macie ładne książki! A któż wam to wszystko pokupował?

Jurek. — Tatuś i mamusia.

Ciocia. — A czytałeś ty przynajmniej te książeczki?

Jurek. — Czytałem tylko Robinsona. Irenka czytała wszystkie książki, trochę mi opowiada o krasnoludkach i mówiła, że to ładna książka. Ale mnie się więcej podoba «W pustyni i w puszczy». Słyszałem kiedyś, co jest w książce, zabił wielkiego lwa i jeszcze inne zwierzęta, bo miał taką strzelbę dobrą. I ja też bym chciał mieć taką sztukę do strzelania...

Ciocia. — Taki sztucer, chciałeś powiedzieć?

Jurek. — Tak, taki sztucer do strzelania, tobym najpierw zastrzelił tego kota, co przychodzi do mojego gołębnika.

Ciocia. — O, zarazbyś w koty strzelał! Ale jeżeli chcesz mieć taki sztucer, to sobie uskładaj pieniędzy, a jak pojedziesz z ojcem na wieś, może ci się uda upolować jakiego wielkiego zwierza. A tu jeszcze jakieś książeczki widzę?

Jurek. — To «Drogowskaz harcerski» Stasia, bo on jest zastępowym i kalendarzyk P.K.O.

Ciocia. — Widzisz, Jurku, że masz niebrzydkie książki. Poczytajże sobie trochę, a ja pójde do drugiego pokoju; przyniosłam sobie szycie, a tam jest trochę widniej, więc będę szyla przy oknie (wychodzi).

Scena X.

Jurek. — Ach ta ciocia! Dobra z niej kobieta, ale taka nudna! Zajął mi tyle drogiego czasu, a ja przecież muszę pomyśleć nad sposobami, jak zdobyć natychmiast pieniądze i wyjechać następnym statkiem za rodzicami. Ale że mnie cybuch! Nie mogłem to zamiast lecieć po cukierki, poprosić Irenki i Stasia o pożyczanie mi czternaście franków?! Byliby mi z pewnością dali i wszystko dałoby się uratować, bo tatusia jeszcze w domu nie było. Ha, trudno, trzeba pomyśleć o czymś innym! A możeby mi ciocia pożyczyła? (Patrzy w okno). Na wieży kościelnej jest wpół do trzeciej; następny statek odchodzi dopiero za pół godziny, trzeba więc próbować. (Puka do drugiego pokoju, w drzwiach ukazuje się ciocia).

Ciocia. — Co mi powiesz kochasiu?

Jurek. — Zapomniałem Cioci powiedzieć, że mam na mieście ważny interes do załatwienia i muszę przytem wpłacić 15 franków. Czy ciocia pozwoliłaby mi wyjść i pożyczyła pieniądze?

Ciocia. — Nie mój chłopcze! Nie pożyczę ci po pierwsze

dlatego, że nie zabrałam ze sobą portmonetki, a po drugie —nie mogłabym tego zrobić bez wiedzy twoich rodziców. Musisz więc zostać w domu! (Zamyka drzwi za sobą).

Jurek. — Ależ twarda ta ciotka, jak z kamienia! (Chodzi zamyślony, potem uderza się w czoło). Jakim ja niemądry! Poco prosić tej surowej ciotki, skoro lepiej udać się o pożyczkę do cioci Heli; ta nigdy mi niczego nie odmówiła (Puka w drzwi, ciocia staje w progu).

Ciocia. — Cóż nowego?

Jurek. — Przepraszam, że ciocię niepokoję, ale zapomniałem na śmierć, że ciocia Hela jest trochę słaba i że obiecałem ją odwiedzić. A może trzeba będzie iść do apteki, jeżeli zajdzie potrzeba...

Ciocia. — Coś ci się pomyliło, Jureczku! Dopiero co szłam z nią razem ulicą i rozstałyśmy się właśnie tu przed waszym domem. Ciocia Hela czuje się jak najlepiej i oddawna wogóle nie chorowała. Twoja więc usługa nie jest potrzebna. (Zamyka drzwi.)

Jurek. — A to wpadłem okropnie, aż strach! (Chodzi po pokoju i myśli). Co tu zrobić, co tu zrobić?

Scena XI.

(Pukanie).

Jurek. — Proszę!

Kominiarz. — Dzieńdobry! Chcę pomówić z kimś starszym w sprawie komina.

Jurek. — Proszę do drugiego pokoju.
(Kominiarz idzie do pokoju cioci).

Jurek. — Kominiarz... świetna myśl, może on by mi pożyczyl (myśli). Ale nie, od nieznajomego pożyczać nie można i wogóle lepiej nie pożyczać. Może jednak uda się zarobić? Już idzie!

Kominiarz (wychodzi z pokoju cioci). — Moje uszanowanie Pani!

Jurek. — Przepraszam, panie kominiarzu! Mnie się tak podobają kominiarze, że chciałbym też być kominiarzem.

Kominiarz. — To bardzo dobrze, chłopczyku! Fach kominiarza jest najważniejszy ze wszystkich fachów; bo widzisz, jakby nie było kominiarzy, toby się wszystkie domy popaliły, a jakby domów nie było, to ludzie wszyscy musieliby umrzeć, bo gdzieżby w zimie mieszkali?!

Jurek. — Tak, ja to rozumiem! A możeby Pan mnie wziął do siebie na praktykę?

Kominiarz. — Czemu nie, masz jednak, kawalerze, jeszcze dużo czasu; może mi wtedy chłopiec będzie potrzebny, to cię wezmę.

Jurek. — Ale jabym chciał iść już dzisiaj, nie... jutro.

Kominiarz. — A ile ty masz lat?

Jurek. — Dziewięć, ale jestem tak silny, jak mój starszy brat.

Kominiarz. — Podobasz mi się chłopcze; jednak wziąć cię nie mogę, bo musisz jeszcze chodzić do szkoły. Jak skończysz szkołę, to zgłoś się do mnie, wtedy zobaczymy.

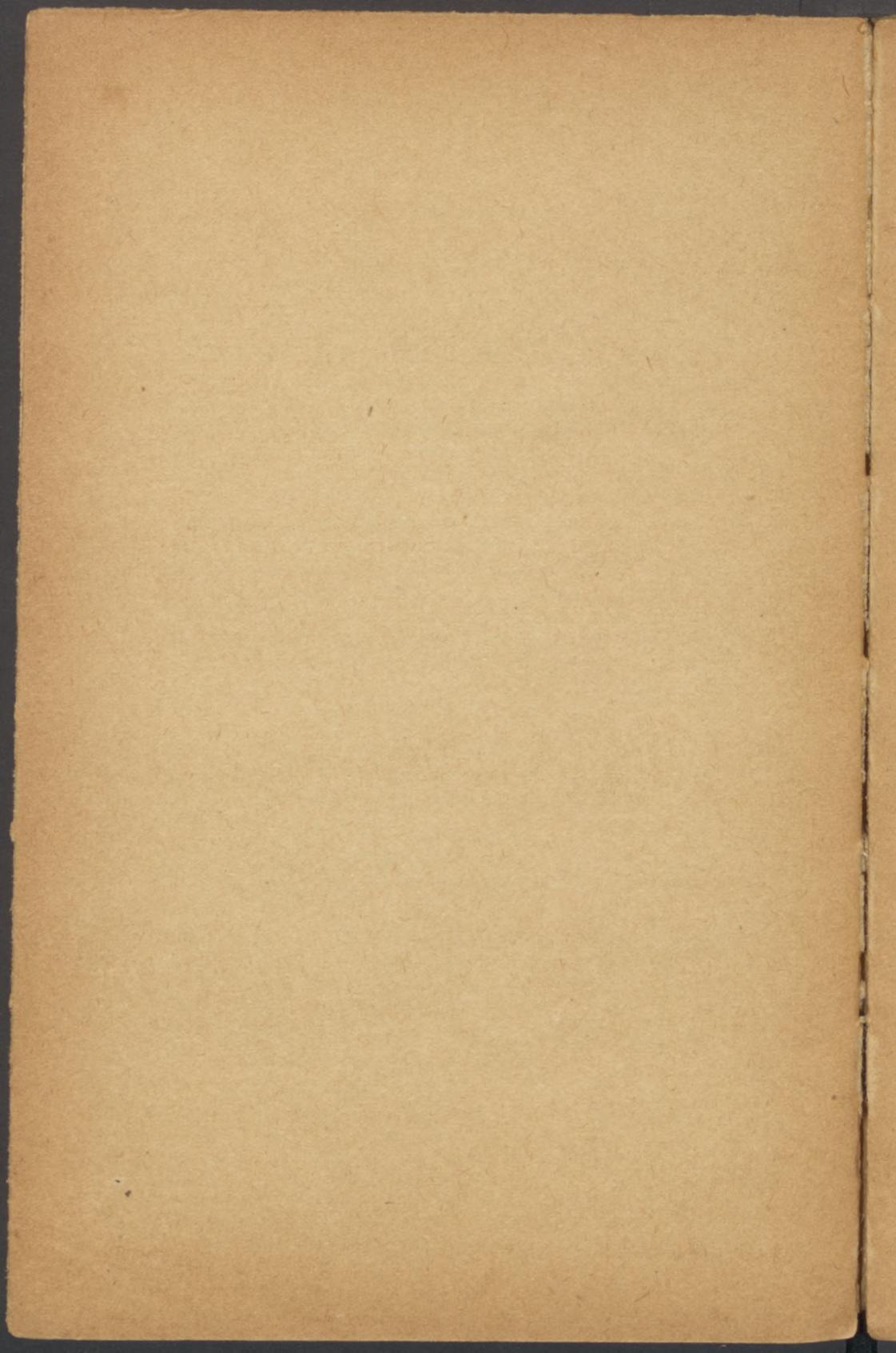
Jurek. — Panie kominiarzu, przecież ja codzień po szkole mogę do pana przychodzić na robotę i to zaraz od jutra. A dzisiaj da mi pan tylko 15 franków zadatku, bo muszę sobie kupić takie ubranie robocze i miotłę.

Kominiarz. — Nie chłopczyku, musisz jeszcze zostać w domu. Żal mi cię, ale nic tu nie poradzę (głaszcząc go ręką po twarzy i zostawia mu czarne smugi od palców). Może kiedyś będziemy razem pracować, ale teraz muszę cię zostawić i śpieszyć do roboty. Dowidzenia! (wychodzi).

Scena XII.

Jurek (wygląda przez okno). — Och, na kościele trzecia godzina! Wszystko przepadło, ostatni statek już odjechał! (Idzie powoli z twarzą w dłoniach, siada za stołem i myśli). Mój Boże, jaka to niesprawiedliwość, wszyscy pojechali, a ja muszę siedzieć w domu! Jestem najmłodszy, dla mnie powinno być wszystko! (Schyla głowę na rękach i znów myśli). Ale dobrze mi tak, przecież dostawałem tyle pieniędzy, co i Staś; on miał dzisiaj 32 franki, a ja nie! I gdzie to w tym brzuszysku pomieści się tyle cukierków?! A jak u dentysty krzychałem, to mi powiedział, że od cukierków tak mię zęby bolą! (Wstaje.) Nie będę jadł cukierków, nie będę!! Inni mogą jeździć statkiem po rzece, mieć własne książeczki P.K.O., pełne skarbonki, a ja nic i nic! Myślicie państwo, że ja tego nie potrafię?! Właśnie, że potrafię! Zobaczycie, że na drugi rok o tym czasie będę miał własną książeczkę oszczędnościową, a może i rower, lub sztucer! I pojedę na wycieczkę za własne pieniądze! Tylko przyjdzie państwo tutaj za rok, a zobaczycie — będę wszystko posiadał!

K u r t y n a s p a d a



BRONISŁAW MAZOWIECKI.

Nauczyciel szkoły polskiej w Montchanin-les-Mines
(S.-et-L.)

MURZYNEK

(Jednoaktówka, odznaczona trzecią nagrodą na konkursie Banku Polska Kasa Opieki w Paryżu)

OSOBY :

Nauczyciel, stary pedagog, w okularach na nosie, pod szyją fular zamiast krawata, marynarka źle zapięta.

Marysia,
Wandzia,
Staś,
dzieci szkolne
Murzynka,
Murzynek, jej synek,
Józek, kominiarczyk,
Felek, piekarczyk,
Dzieci szkolne.

Rzecz dzieje się w małym miasteczku górniczym we Francji.

SCENA I-sza

(Sala szkolna, ławki, portrety, na widocznem miejscu
mapa Polski, stół nauczyciela.)

Dzieci (śpiewają). — «Maryna, gotuj pierogi.
Jedno z dzieci. — Proszę Pana!

Nauczyciel. — Siedź, smarkaczu, nie przeszkadzaj mi.
(*Dzieci śpiewają.*)

Jeden z uczniów. — Proszę Pana!

Nauczyciel. — Co, ty znowu swoje?

Uczeń. — A bo proszę Pana, w gazecie tydzień oszczędności.

Nauczyciel: — A! Zaczekaj, zaraz nam o tem opowiesz!
(*Dzieci kończą śpiewać.*) No, mów teraz!

Uczeń. — Proszę Pana, ja wyczytałem w gazecie, że teraz w całej Francji u Polaków jest tydzień oszczędności. Co to jest proszę Pana?

Nauczyciel. — Ponieważ to ważna sprawa, to wam o tem trochę opowiem. Nie będziemy kończyć ćwiczenia, zrobimy je jutro.

Dzieci. — Dobrze, dobrze (klaszczą z radości)!

Nauczyciel. — No, uciszcie się już! (*Dzieci siedzą cicho.*)

Nauczyciel. — Posłuchajcie. Jest taki ładny wierszyk o koniku polnym i mrówce, to wam go przeczytam (wyjmuje książkę, szuka chwilę.) Zdaje się, że to w tej książce; chwilę spokoju, zaraz znajdę. (Znalazł, czyta): «Konik polny i mrówka», Franciszka Morawskiego.

Konik polny, co swój cały
Wpółśród lata czas prześpiewał:
Tak był na zimę zgłodniały,
Że tylko wiatr nim powiewał.
Żeby też odrobina jaka
Muchy lub robaka...
Nic zgoła!

A więc idzie, płacze, woła,
 Do skrzętej mrówki kołace.
 — «Pożycz, ach! pożycz — powiada —
 Kilka ziarenek dla sąsiada;
 Jakiem konik, tak zapłacę,
 By tylko sierpień zawitał,
 I procenta i kapitał!»
 Mrówka na to: «Opatrz, Boże!
 Ja nikomu nie pożyczam,
 Do wad moich to zaliczam,
 Nawet i najmniejszych może,
 Ale już mnie nie naprawisz.
 Raczej odpowiedz mi na to:
 Co robiłeś całe lato,
 Że się żebraniem bawisz?»
 — «Tak w dziennej, jak w nocnej dobie
 Wciąż śpiewałem bez ustanku.
 — «Śpiewałeś? Dobrze, kochanku
 Teraz skakaj sobie».

(Po przeczytaniu):

Cobyśmy mogli powiedzieć o tej mrówce?

Jedno z dzieci. — Proszę Pana, ona była mądra!

Inne dziecko. — Ona, proszę Pana, była pracowita!

Jeszcze inne. — Ona była głupia, bo nie chciała nic pożyczyć konikowi. Konik by jej potem oddał, a onaby na tem zarobiła.

Nauczyciel. — No, dobrze, a cobyśmy mogli powiedzieć o koniku?

Jedno z dzieci. — Proszę Pana, on był leniwy, mrówka dobrze zrobiła, że mu nic nie pożyczyła. Dobrze mu tak, leniuchowi! Moja mama zawsze mówi: pieczone gołąbki nie lecą same do gąbki. Trzeba pracować!

Inne dziecko. — A moja mama mówi: bez pracy niema kołaczy. I jak ja nie chcę nic robić, to mama bierze kija i nagania mnie do roboty!

Nauczyciel. — No, dobrze, ale cośmy jeszcze o nim powiedzieli?

Jedna z dziewczynek. — Ja bym mu pożyczyła. To nie jego wina, że nie pracuje, że Pan Bóg dał mu taką naturę. On był, proszę Pana, tylko trochę głupi, bo sobie nic na zimę nie zebrał, nic sobie nie zaoszczędził. Ale on też ma swoją zasługę. On śpiewem uprzyjemnia czas. On jest, jak artysta. A artyści są na świecie potrzebni, bez nich nie mielibyśmy ni piosenek, ni ładnych obrazów.

Nauczyciel. — Dobrze, bardzo mi się podoba twoja odpowiedź! A jak nazywalibyśmy takiego człowieka, co o jutrze nie myśli? Co nie zastanawia się nad tem, jak to będzie później?

Dzieci. — Głupi, kapuściana głowa, niemądry!

Nauczyciel. — Nie, niedobrze nazywacie takiego człowieka. Patrzcie, konik nie był głupszy od mrówki, on nie był kapuścianą głową. Posłuchajcie, my mamy takie ładne słowo, by konika nazwać dokładnie. Konik był tylko *lekkomyślny*. (Pisze na tablicy to słowo i podkreśla je). Powtórzcie (dzieci powtarzają). Konik był lekkomyślny! A czy mrówka miała dobre serce, skoro, mając wszystkiego pod dostatkiem, dużo, nie chciała nic głodnemu konikowi pożyczyć?

Uczeń. — Ja bym mu nie pożyczył. Niech i on nauczy się pracować i zbierać jak mrówka.

Inna dziewczynka. — A jak to! To nie dobrze, jak się ma złe serce! Mrówka podoba mi się, bo była oszczędna, ale była brzydka, bo miała złe serce. Jabym konikowi pożyczyła!

Nauczyciel. — No, dobrze. Już skończymy o mrówce i koniku. Powtórzmy sobie tylko, jaka była mrówka i jaki był konik. Zapiszemy to sobie w zeszytach: (Dzieci zapisują w zeszytach, jedno na tablicy.) Mrówka była oszczędna, ale bez serca, a konik lekkomyślny. (Podkreślają te wyrazy.) To ty mówiłeś mi o tygodniu oszczędności, to o czem było w gazecie? Więc uważajcie, tydzień oszczędności, to tydzień, gdzie my będziemy się uczyć od mrówki oszczędności. Musimy

zaś mieć lepsze serce niż ona. Musimy też więcej myśleć o dniach, które przyjdą, i nie być tak jak ten konik. Konik był lekkomyślny, my będziemy mądrzejsi, my będziemy oszczędzać i nie będziemy się bali, że jutro nie będziemy mieli chleba. Posłuchajcie, mój ojciec zawsze sobie mawiał: «Zianko do ziarnka, zbierze się miarka». Zapiszmy to sobie. (Dzieci zapisują). Pamiętajcie o tem, co wam mówiłem. (Któręś dziecko się kręci). No siedźcie tam cicho, proszę! A teraz wyjdźcie na przerwę. (Dzieci wychodzą, kurtyna spada).

SCENA 2-ga.

(Pokój dziecięcy. *Marysia* z robótką w ręku. *Wandzia*, jej koleżanka. Obie śpiewają: «Przylecieli sokołowie». Za chwilę wpada *Staś*, ich kolega).

Staś. — Wiecie co, wielka nowina! W naszej szkole będziemy mieli murzynka!

Marysia z *Wandzią* (razem). — Co? Gdzie? Skąd?

Staś. — Poczekajcie, zaraz wam powiem! Och, jak się zmęczyłem. (Po chwili mówi:) W tym domu po *Rabczyńskiej* będzie teraz mieszkała murzynka z dwojgiem małych murzyniątek. Starszy zacznie niedługo chodzić do szkoły. Ale jak to będzie? On prawie po polsku nie umie. Tylko kilka słów. Jego tatuś jest w Afryce, a mama tutaj. (Ciszej). Oni są podobno bardzo biedni. Pójdę, zobaczę, może się czego dowiem! (Wychodzi.)

Marysia. — Wiesz co, *Wandziu*? *Staś* mówi, że oni są biedni. Szkoda mi ich, oni też są ludźmi, chociaż czarni. Też mają serce i też cierpią jak my. To nie ich wina, że są czarni.

Wandzia. — I mnie też ich szkoda! Wiesz, *Marysiu*, mam dobrą myśl. Mój tatuś dawał mi parę franków przy każdej wypłacie, a mamusia też trochę dorzucała. Miałam sobie kupić wielką lalkę, taką co to otwiera i zamyka sama oczy i ze złotemi loczkami. Ale teraz, jak widzę, że oni, ci murzyni, są biedni, to już wolę im me pieniądze dać. Oné im są bar-

dziej potrzebne, niż mnie lalka. Poczekaj, polecę po skarbonkę, zobaczą ile tam jest. (Biegnie po skarbonkę.)

Marysia (sama). — I ja mam też skarbonkę. I ja też zbierałam sobie na ładny rower. Mamusia miała mi dołożyć, bo moich pieniędzy było za mało. (Bierze skarbonkę z kąta, ogląda ją, myśli). Ha, trudno! Pochodzę jeszcze do szkoły na piechotę. Co tam? Jeden rok więcej, jestem jeszcze młoda! Ale, ale, ile to ja tam nazbierałam tych pieniędzy? (Wysypuje pieniądze ze skarbonki, liczy.) 50 franków. Dam jej wszystko, tej biednej murzynce, jak będzie «grzeczna». **Mama się na to napewno zgodzi**, bo moja mama ma takie dobre serduszek. (Wbiega Staś.)

Staś. — Wiecie co? (Spostrzega, że Wandzi niema). A gdzie Wandzia?

Marysia. — Pobiegła do siebie po skarbonkę. Chcemy coś dać tej biednej murzynce, ale jak będzie «grzeczna».

Staś. — O tak, ona jest bardzo grzeczna, już rozmawiałem z nią. A jej mały pędrak, ten co będzie chodził do szkoły, jest bardzo śmieszny. Ale wiesz, Marysiu, ona nie nosi na plecach swego małego synka. To tylko tak jest w Afryce, tu nie. Ale ona śmiesznie mówi po polsku. (Po chwili.) Aha, a to i ja coś tam mam w skarbonce. Poczekaj, zaraz z nią przylecę. (Wybiega. Wchodzi Wandzia.)

Wandzia. -- O, moja mamusia pocałowała mnie i pozwoliła oddać pieniądze murzynkom. Ucieszyła się i powiedziała mi, że jestem dobra. Chodź, policzymy moje pieniądze. (Liczą. Wbiega Staś.)

Staś. — A i ty, Wandziu, jesteś? To dobrze. Macie i moje pieniądze. (Podaje skarbonkę, dziewczynki wysypują zawartość na stół i liczą.)

Marysia. — O, razem to będzie ładna sumka! Mama murzynka powinna się ucieszyć. Chodźmy przejść się trochę, może ją zobaczymy. (Wszyscy wychodzą.)

SCENA 3-cia.

(*Ulica lub pokój. Józek, kominiarczyk; Felek, piekarczyk. Spotykają się.*)

Józek. — E, czy wiesz ty co? Staś mi mówił, że tu do nas murzynka z Afryki przyjeżdża. I, podobno, ma dwóch małych murzynków. To ci będzie heca, ja też prawie że murzynek.

Felek. — A tak, słyszałem o tem. Podobno Marysia, Wandzia i Staś mają ich wspomóc, bo są bardzo biedni. A to i ja też nie będę od tego. Zawsze jakieś ciastko upiekę dla murzyniełek.

Józek. — A ja to co? Czy to ja najgorszy? Poczekaj, już ja coś wymyślę. No, a tymczasem do widzenia, bo mój majster będzie się gniewał, że tak długo nie przychodzę.

Felek. — I ja też. Daj gęby. (Całują się. Kurtyna spada.)

SCENA 4-ta.

(*Kotłyska. Murzynka siedzi i kotłysze dziecko. W pokoju pusto, biednie. Obok niej siedmioletni murzynek.*)

Murzynka (śpiewa).

Matka twoja być murzynka, czarne oczy mieć,
Więc zwyczajna rzecz, że ty być czarny człek.
Czarna buzia, czarna nózia, czarne oczki dwie,
I każda strona, czarna strona, tylko ząbki nie.
Aaa, aaa, spać do rana, czarny Samba, aaa! Zamknąć
gemba, cicho, sza!

Jutro zjeść ananasa, sześć daktyli i banana.
Aaa, aaa, czarna Samba, zamknąć gemba, cicho sza!
Zasnąć mała karalucha, chrapnąć całą noc!
I dobra, piękna rzecz niech przyśni ci się moc.
Słynna, zwinna Józefina, afrykański kwiat,
Być może z nią ożenisz się za kilkanaście lat.
Aaa, aaa, spać do rana, jutro zjeść ananasa, sześć daktyli
i banana,

Aaa, aaa, czarna Samba, zamknął gamba, cicho sza!

(*Wchodzą Marysia, Wandzia, Józek i Felek.*)

Dzieci (razem). — Dzień dobry Pani!!

Murzynka. — Dzień dobre, mała dzieci!

Marysia. — Proszę Pani, słyszałyśmy, że Pani trudno jest sobie dać radę z utrzymaniem dzieci. My nie jesteśmy bogaci, ale zawsze nie jest nam tak źle. Temi zaoszczędzonymi przez nas pieniędzmi chcemy Pani dopomóc. Niech je Pani weźmie i kupi ładne ubranko dla naszego przyszłego kolegi. (Zbliżają się do murzynka, rozmawiają z murzynkiem.)

Murzynka. — Moje dobra dzieci! Ja dziękować wam bardzo, ja być bardzo wzruszona przez wasze dobre serce. I nie zapomnieć o taka miła przyjęcie dla mnie i moja mała dziecka. Samba wstać i podziękować ładna panienska i ładna pana. Jutro iść do szkoła. A być grzeczna i słuchać. I uczyć się po polska, tego ładna języka. I potem być czarna Polaka. I mieć taka dobra serca i kochać Polska, ta kraja, gdzie jest dobra dziecka. Samba będzie czarna Polaka.

Sambo. — Tak, Samba będzie mała, czarna Polaka, będzie się uczyła polska, ładna języka i będzie się bawiła z biała dziecka. (Dzieci ściskają ręce murzynki, Samby, zaglądają do kołyski i wychodzą).

Murzynka (sama). — Jak dobra serca mieć ta polska dziecia. (Kurtyna spada.)

SCENA 5-ta.

(*Szkoła. Nauczyciel. Na pierwszej ławce ładnie ubrany murzynek, obok dziewczynki o jasnych włosach.*)

Nauczyciel. — Więc teraz będziemy mieli dalszy ciąg lekcji o oszczędności. Dzisiaj to nie wy, a ja wam będę opowiadał. Najpierw napiszemy sobie to ładne przysłowie polskie: «*Oszczędnością i pracą, ludzie się bogacą*». (Dzieci piszą, nauczyciel przybija to przysłowie, poprzednio przygotowane, wypisane na dużym arkuszu, na widocznym miejscu w klasie), i drugie: «*Ziarno do ziarnka, zbierze się miarka*» (jedno z dzieci przybija drugi arkusz z napisaniem

przysłowiem). Teraz słuchajcie. Francuzi, wy to wiecie, bardzo są oszczędni. Prawie każdy Francuz ma książeczkę oszczędnościową. Składają sobie, by potem mieć trochę grosza na starość, lub na czarną godzinę. Dobrze robią?

Dzieci. — Tak.

Murzynek. — Taka.

Nauczyciel. — A czy my, Polacy, nie możemy ich w tem naśladować?

Dzieci. — Tak, proszę Pana.

Murzynek. — Tak, plose pana.

Nauczyciel. — Patrzcie, tutaj mam wykresy, jak jakie państwo oszczędza. (Pokazuje wykresy.) POLSKA jest na dalekiem miejscu. To wstyd. My mało oszczędzamy. Robimy tak jak ten konik. Jesteśmy lekkomyślni, nie bogacimy się.

Marysia. — A czy, proszę pana, Polska teraz wcale nie oszczędza?

Nauczyciel. — E, tak znów źle nie jest. My też oszczędzamy, tylko ciągle zamało. Popatrzcie jak Polacy oszczędzają. (Pokazuje wykresy oszczędnościowe za ostatnie 10 lat).

Wandzia. — No, to się cieszę, że jednak coś tam jest. Polacy zrozumieli i już uczą się oszczędzać, czy tak, proszę pana?

Nauczyciel. — Tak Wandziu, już to Polacy zrozumieli. I oszczędzają.

Staś. — Moja mamusia to zawsze każe mi coś wrzucić do skarbonki. A mój piesek (świnka, kotek, owieczka — różne kształty skarbonek) tylko się z tego cieszy. O, bo on jest łakomy.

Nauczyciel. — To dobrze. Uczcie się oszczędzania teraz, póki jesteście młodzi, bo: «Czem skorupka zamłodu nasiąknie, tem na starość trąci».

Marysia. — Proszę pana, co teraz będziemy robić?

Nauczyciel. — Teraz nauczę was piosenki, a potem zro-

bimy sobie parę wykresów, jak to Polska oszczędza. (Śpiewa):

Hu, hu, ha! Hu, hu, ha!

Nasza zima zła!

Szczypie w nosy, szczypie w uszy,

Mroźnym śniegiem w oczy prószy,

Wichrem w polu gna.

Nasza zima zła, nasza zima zła!

Sambo (sam)

Hu, hu, ha! Hu, hu, ha!

Nasza zima zła!

A my jej się nie boimy,

Bo oszczędzać potrafimy.

Nie jest zima zła, gdy się pieniądz ma!

Hu, hu, ha! Hu, hu, ha!

Nasza starość zła!

A my jej się nie boimy, bo oszczędzać potrafimy.

Nie jest starość zła, gdy się pieniądz ma!

Hu, hu, ha! Hu, hu, ha!

Nasza Polska ta.

Mała Sambo jest Polaka,

Mówi źle i jest biedaka.

Skórę czarną ma, serce polskie ma!

(W widocznym miejscu stoi wielka skarbonka, np. z papieru. Sambo podchodzi do tej skarbonki i wrzuca w otwór drobną monetę. Za nim inne dzieci wrzucają też po parę groszy. Po tem wszystkie dzieci:)

Hu, hu, ha! Hu, hu, ha!

Nasza starość zła!

A my jej się nie boimy,

Bo oszczędzać potrafimy.

Nie jest starość zła,

Gdy się pieniądz ma!

Kurtyna zapada.

Ubiór murzynki i murzyniątka nie powinien nastroczać żadnych trudności. Prostu trzeba nałożyć na twarz i ręce białego podkładu, a potem pomalować wszystko to czarną szminką. Melodja piosenki «Hu, hu, ha!», jest znaną melodją piosenki Z. Noskowskiego. Wykresy trzeba zrobić samemu na podstawie danych statystycznych Banku P.K.O.

JULJAN MAJCHERCZYK.

Nauczyciel szkoły polskiej w Paryżu.

ODKRYTY SKARB

(**Obrazek sceniczny ze śpiewami, w jednej odsonie odznaczony na konkursie Banku Polska Kasa Opieki w Paryżu.**)

OSOBY: *Stach,*
Mania, — jego siostra,
Józio,
Kazio,

Rzecz dzieje się we Francji, w kolonji górniczej.

(*Scena przedstawia pokój, odpowiednio ozdobiony, w którym znajduje się stół, szafa i parę krzesel.*)

SCENA I.

(*Przy stole, zarzuconym książkami, siedzi Stach i odrabia lekcje po francusku. Od czasu do czasu powtarza urywane słowa: exercices, composition française, multiplication... je parle, tu parles, il parle... Ktoś puka do drzwi.*)

Stach. — Proszę! (Do pokoju wpada Józio.)

Józio. — Bonjour!

Stach. — Bonjour, Józiu! Sava? (Podają sobie ręce.)

Józio. — Oui, et toi. Pourquoi tu n'étais pas à l'école aujourd'hui?

Stach. — Parce que... (Wchodzi Mania).

SCENA II.

Mania. — Dzień dobry! Jak słyszę, znowu panowie Francuzi zabawiają się rozmową po francusku.

Józio. — My som nie Francuzi, mais, my som Polakami.

Mania. — Oho! Piękny mi Polak, co nawet nie umie porządnie mówić po polsku, — a cały dzień w szkole i poza szkołą parluje po francusku.

Stach. — Bo wszyscy tak robią.

Mania (z oburzeniem). — Wszyscy tak robią? To ty myślisz, że oni dobrze robią? Wciąż mówią obcym językiem i w szkole, i w domu, i na ulicy, i wszędzie — a w ojczystym języku nawet w domu słówka jednego nie powiedzą, nie przypomną sobie, że są Polakami... Czy to oni dobrze robią? Nic dziwnego, że uczą się w szkole po polsku i nawet listu nie umieją napisać...

Stach. — No, już ty się nie chwal, że ty lepiej umiesz. Wczoraj znalazłem w twojem ćwiczeniu dwa błędy.

Mania. — Błędy każdy człowiek może zrobić.

Józio. — E, co mówić o tem, lepiej powiedzić o zabawie dzisiaj. Beaucoup przyniesiesz cukierków, Maniu?

Mania. — Każdy głupiec tylko myśli o zabawie i cukierkach, a o ważnych rzeczach zapomina. Nie dam nic cukierków i nie będę się z wami bawiła. (Wychodzi.)

SCENA III.

Józio. — Co się u twoja siostry stało? Taka jakaś... drôle i zarozumiała.

Stach. — O, ktoby tam na to uważał. Każda dziewczyna jest taka, kiedy jej mucha na nos siądzie.

Józio. — Stała się jakaś ważna, et puis dumna, jakby niedawno jaki skarb posiadała.

Stach. — Skarb posiadała? Ha, ha, ha, toby dopiero było pięknie. (Wchodzą Kazio i Zosia.)

SCENA IV.

Kazio. — Wielka nowina! Czy wiecie, że podobno Mania jakiś skarb znalazła?

Stach (chwytyjąc go za rękę). — Kto?

Kazio. — Mania, twoja siostra. Dzisiaj zdradziła się przed koleżankami...

Zosia. — Mnie samej mówiła po lekcjach, że nigdy nie czuła się taką szczęśliwą, jak obecnie, kiedy swój skarb posiada.

Józio. — Ja mówił, co ona ma coś na sumieniu... Jamais taka nie była. Jak ja wspomniał o zabawie i bonbonach, to się stała zła i zaraz wyszła. Pewnie miała peur i bała się, żeby jej skarbu kto nie ukradł...

Stach. — Jeżeli to prawda, to ja ten skarb odnajdę i wtenczas zrobimy dopiero prawdziwą zabawę.

Kazio. — Już ja ci w tem dopomogę.

Józio. — Et moi.

Zosia. — I ja.

Stach. — Dziękuję wam! Teraz musimy działać cicho i sprytnie, aby się Mania o tem nie dowiedziała.

Kazio. — Trzeba przeszukać pokój...

Józio. — ...Albo ją nastraszyć.

Zosia. — Na to się nie zgodzę, bo jak ją nastraszyć, to

będzie chora. A ja nie chcę, żebyście jej taką krzywdę zrobili.

Kazio. — Nic jej nie będzie. Któż tu mówi o jakiej krzywdzie Przecież my wiemy, że to jest tylko zabawa, żeby się dowiedzieć, jaki to skarb Mania posiada.

Stach. — No pewnie... A jeśli coś ma, to i tak znajdziemy, że się o tem wcale nie dowie. Musimy tylko zaraz rozpocząć poszukiwania, póki rodzice nie wrócą z zebrania.

Zosia. — A gdzie jest Mania?

Stach. — Mania jest u siebie. Ty Zosiu musisz pójść do niej i zabawić ją rozmową, a my przez ten czas zabierzemy się do roboty.

Zosia. — Dobrze. Już idę. (Wychodzi.)

SCENA V.

(Chłopcy skupiają się koło Stacha.)

Kazio. — A my, co mamy robić?

Józio. — O la la... ty w gorącej wodzie kąpany. Tu trzeba myśleć, il faut, — nieprawda, Staś!?

Stach. — Tak! (Namyślając się.) Ale już mam plan gotowy. Jeśli ona naprawdę ma jakiś skarb, to go nigdzie nie schowała, tylko... w piwnicy.

Kazio (kłaszcząc w ręce). — Brawo! Dobrze wymyślił. Idziemy więc do piwnicy.

Stach. — Chodźmy!

Józio (śpiewając na nutę: *Trois petits cochons*):

Ktoi się wilka boi sam, boi sam, boi sam,

Niechaj z nami idzie tam, tra la la la!

(Wychodzą.)

SCENA VI.

(*Na scenę wbiegają Mania i Zosia, trzymając się za ręce.*)

Zosia. — Już poszli!

Mania. — Głuptasy! To dopiero przewróciło im się w głowie... Będą szukać skarbu w całym domu, a on przecie przy mnie się znajduje.

Zosia. — Tak i ja myślałam.

Mania (z uśmiechem). — To i ty myślałaś, że mam prawdziwy skarb: złoto, srebro, brylanty...

Zosia (zawstydzona). — Tak... Ale teraz wiem, że to inny skarb.

Mania. — I mówię ci szczerze, że jestem z niego bardziej zadowolona, niż gdybym miała ten prawdziwy. Wiem bowiem, że on jest moją własnością i że w każdy dzień, w każdy tydzień i miesiąc buduję sobie sama szczęśliwsze życie, które jest ciężkie dla człowieka biednego, a jeszcze tu na obczyźnie. I dlatego cieszę się, że posiadam taki skarb, który rośnie razem ze mną.

Zosia. — Jakto?

Mania. — Jeszcze nie rozumiesz?

Zosia (namyślając się). — Ach tak! Już wiem. Tobie lat przybywa, a do skarbu pieniędzy przybywa.

Mania (z radością). — Tak jest. I dlatego szczęśliwa jestem, jak ptak, — żebyś tańczyła i śpiewała od rana do wieczora. (Po chwili.) A może zaśpiewamy coś razem? Pamiętaj... to, co w szkole... (zaczyna).

Mania i Zosia (śpiewają razem, z odpowiednimi ruchami).

Zasiali górale owies, owies,

Od końca do końca, tak jest, tak jest —

Zasiali górale żyto, żyto,

Od końca do końca wszystko, wszystko.

Tam na polu góraliczek gromada, gromada,

— Czemużeś się wydawała żeś młoda?
— Czemużeś się wydawała żeś mała, żeś mała?
Będzie z ciebie gospodyni niedbała, niedbała.

Zosia (ściska ją za rękę). — Jak to miło!

Mania. — Tak, — ja to czuję najlepiej.

Zosia. — Jak będę miała taki skarb, to będę taka sama szczęśliwa, jak ty. Musisz mi tylko dopomóc na początek...

Mania. — Dopomogę ci! Nawet nauka będzie ci lepiej szła w szkole. Nie poznasz sama siebie, i inni cię też nie będą mogli poznać. Będziesz mogła budować sobie swoje własne szczęście i inaczej patrzeć na świat i ludzi. O, i więcej wyniesiesz z tego zadowolenia i przyjemności, jak inni... z cukierków. (Śmiejąc się.) A te chłopczyska niech szukają sobie skarbu po całym domu.

Zosia. — A gdzie oni są teraz?

Mania (nadsłuchując). — Muszą być gdzieś w pobliżu, bo słyszę ich głosy.

Zosia. — Może już wracają z powrotem. Ukryjmy się!

Mania. — Tak. Ale gdzie? (Rozgląda się.) O, tu za szafą będzie najlepiej. (Chowają się.)

SCENA VII.

(Przez szeroko otwarte drzwi wchodzi, z napuszczoną miną Kazio. Ma na sobie powalaną wapnem marynarkę i spodnie, na głowie stary kapelusz, a w rękę pałkę. Na szyji czerwona chustka. Złe przyklejone broda i wąsy odrywają się co chwila.)

Kazio (deklamując zwolna).

Brody ich długie, kręcone wąsiska,
wzrok dziki, suknia plugawa.
Noże za pasem, miecz u boku błyska,
w rękę ogromna buława.

(Głośno, robiąc krok naprzód)

Stójcie, ach stójcie!...

SCENA VIII.

(We drzwiach ukazuje się Józio. Twarz ma uwalaną sadzami, którą obciera co chwila rękawem, brudząc ją jeszcze bardziej. Na ostatnie słowa Kazia zatrzymuje się i robi zdziwioną minę.)

Józio (nawpół z płaczem). — Pourquoi? Czego mam stać, — przecież i tak nic nie znalazłem, mon Dieu!

Kazio (odwracając się). — A to ty? A gdzie się tak uwalasz?

Józio. — Ja szukał w kominie, bo tam się coś świeci, jak złoto.

Kazio. — I cóż tam znalazłeś?

Józio. — Rien! rien i nic, voilà.

Kazio. — Głupi!

Józio (ogromnie zdziwiony). — Merci.

Kazio (potrząsa pałką i postępuje krok naprzód).

— Nie dziękuj, wyznam ci szczerze:
pierwszybym pałkę strzaskał na twojej głowie,
gdyby nie dziątek pacierze.

Dziatki sprawiły, że uchodzisz cało,
darzą cię życiem i zdrowiem;
im więc podziękuj za to, co się stało,
a jak się stało — opowiem...

SCENA IX.

(Wchodzi Stach, dźwigając na plecach wielką skrzynię.)

Stach. — Pomóście mi, pomóście!

Kazio (podbiegając). — Co ty niesiesz?

Stach. — Zdaje się, że skarb znalazłem tu w tej skrzyni...

(składa ją na podłodze przy pomocy Kazia i Józia). Uff!
Jaka ciężka!

Chłopcy oglądają skrzynię z zaciekawieniem.

Józio. — Ona jest fermé.

Stach. — Przecież skarb zawsze jest zamknięty. Musimy ją teraz otworzyć. Tylko czym? (ogłąda się).

Kazio. — Zaczekajcie! Moją pałką roztrzaskam ją w kawałki.

Stach. — Nie! Na taki hałas mogą przyjść sąsiedzi — albo nawet Mania...

Józio. — Mais non, ona jest daleko.

Stach. — Wszystko jedno... Musimy skrzynię otworzyć cicho, żeby nikt nie słyszał, i tak samo zamknąć. Dajno mi twoją pałkę!

(*Kazio, cofając się z przestrachem podaje mu pałkę. Stach podważa cieńszym końcem pałki wieko skrzyni do góry i otwiera ją.*)

Józio. — Saje!

Kazio. — Otwarty skarb!

Stach. — Nareszcie!

(*Otwierają skrzynię i patrzą z wyrazem najwyższego zdumienia do środka.*)

Stach, Kazio i Józio. — Oooo!

(*Wreszcie rzucają się i wygrzebują z wnętrza skrzyni różne szmaty, stare żelastwo, kawałki cegły i t. p. rzeczy.*)

Józio (ocierając czoło rękawem). — Ani nawet jednego sou niema.

Stach i Kazio. — Oszukali nas!

(*Za szafą rozlega się głośny śmiech.*)

Stach. — Co to jest?

Józio. — Strach!

(Z za szafy wybiegają ze śmiechem *Mania* i *Zosia*, krzycząc):

Mania i *Zosia.* — Ręce do góry!

Stach (z zawstydzeniem). — A co wy tu robicie?

Mania. — Przyszliśmy skarb zobaczyć.

Stach. — Jaki skarb? My tutaj żadnego skarbu nie mamy.

Józio. — My się tylko bawić, et puis śmiec et c'est tout.

Kazio. — A chociażbyśmy i skarb znaleźli, to i tak waszych krzyków byśmy się nie zlekli.

Mania (z ironją). — O, jak widzę, zebrali się tu dzielni rycerze! Tylko nie wiem, co znaczą te twarze rozpalone, te dziwne ubiory, ta pałka i ten «Polak», co po polsku mówić nie umie, a murzynem chce zostać; — ta skrzynia ze starami rupieciami, co leżała głęboko w piwnicy...

Zosia. — Skarbu w niej szukali.

Stach (z pogardą). — Zdrajczyń!

Mania. — Głuptasy! Wszyscy się ośmieszacie swojemi słowami. Stałyśmy przecie za szafą i każde wasze słowo i ruch był nam znany. Chcieliście łatwym sposobem skarb osiąść. Szukaliście na wszystkie strony i co znaleźliście? Nic! A dlaczego? Bo skarb, którego szukacie był i jest przy mnie, chociaż trochę inny, niż wam się wydaje.

Stach. — Maniu! To ty naprawdę masz skarb?

Józio. — Ja mówił déjà.

Mania. — Mam, i chętnie go wam pokażę, abyście trochę zmadrzeli. Na trzech was, zdaje się, mądrych chłopców, jedna tylko *Zosia* była mądrzejsza. Przyszła wprost do mnie i zapytała, o jakim to skarbie wspominałam jej w szkole. Wytłómaczyłam jej wszystko — i była zadowolona. Ale wy woleliście, bez żadnego wyjaśnienia z mej strony, cicho i potajemnie zawiadnąć nieznanym skarbem. Namęczyliście się, i co wam z tego przyszło? Nic! Ha, ha, ha...

Kazio. — A dlaczego nam przedtem nie powiedziałaś?
Mania. — A dlaczego mnie przedtem nie zapytałyście?

Stach. — No dobrze, ale już pokaż wkońcu ten skarb.

Mania. — Ciekawy jesteś, jak widzę, mój braciszku? Chcesz wiedzieć: jak ten skarb wygląda i skąd go wzięłam? Nie martw się! Nie znalazłam go, ani też go mi nikt nie podarował. Nie składa się też ze złota, srebra i drogich kamieni. I nie potrzebuję się obawiać, aby mi go ktoś ukradł, — bo chociaż ukradnie, to i tak nikt z niego nie skorzysta. Oto on!

(*Wyjmuje książeczkę Banku P.K.O. z kieszeni i podnosi ją w górę.*)

Kazio. — Phi... książeczka...

Józio (sylabizując). — P.—K.—O.

Stach (z wyrzutem). — I to cały skarb?!

Zosia. — Cały skarb!

Mania. — I wiercie mi: to mój najmiłszy skarb, jaki obecnie posiadam i z którego jestem taka dumna i szczęśliwa. Książeczka P.K.O.! Każdy centym, jaki mi rodzice mogą ofiarować, nie stracę zaraz na cukierki (spogląda na Józia), czy inne smakołyki — ale staram się oszczędzać i składać do Banku P.K.O. na moją własną książeczkę. Tatuś musi ciężko pracować w kopalni, a mamusia gospodarować w domu, żebyśmy głodni nie byli. I dlatego postanowiłam nie tracić tak łatwo wszelkich pieniędzy, jakie posiadam, ale oszczędzać ile siły, abym kiedyś mogła mieć coś dla siebie, a może i rodzicom dopomóc.

Zosia. — I ja też postanowiłam oszczędzać.

Józio. — A ja wolę bonbony sobie kupić!

Mania. — Tak! I ja kiedyś myślałam, że cukierki są najlepsze ze wszystkiego na świecie. Jak tylko miałam pieniądze, tu kupowałam czekoladki, karmelki, sama jadłam i rozdawałam dzieciom. A później zrozumiałam, że jest jeszcze wiele innych rzeczy na świecie: lepszych, piękniejszych i droższych.

Postanowiłam więc oszczędzać, żeby te piękne rzeczy poznać. A przedewszystkiem chciałam dobrze poznać kraj w którym mieszkam i swoją najdroższą Ojczyznę Polskę. Czy wiecie, jaka to radość mieć swoje zaoszczędzone pieniądze, kupić coś wartościowego, pojechać — gdzie się tylko podoba, albo... albo dopomódz komuś bardzo biednemu?

Józio. — A ja, to pojechać do Afryki.

Zosia. — I tak już jesteś murzynem.

Józio. — Ale ja się umyć dobrze i nie będę murzyn.

(*Dziewczynki śmieją się, chłopcy spoglądają po sobie.*)

Stach. — No, przecież my też możemy mieć taką książeczkę, nieprawda?

Mania. — Jak tylko zechcecie.

Stach. — To ja też będę oszczędzał, bo ja chcę zobaczyć Gdynię.

Kazio. — A ja chcę kupić sobie radjo.

Mania (ze zdziwieniem). — Jakto? Więc wy też chcecie oszczędzać?

Wszyscy. — Chcemy!

Mania. — Na książeczkę P.K.O.?

Wszyscy. — P. K. O. !

Mania. — Jakże się cieszę, żeście mię zrozumieli, i że możecie być takimi szczęśliwymi, jak ja. Dlatego chętnie dzisiaj zabawię się z wami i pośpiewam...

Józio. — A już nie będziesz taka... droble, jak być przedtem?

Mania (śmiejąc się). — Nie będę. Tylko ty naucz się mówić po polsku, bo to wstyd, aby Polak we Francji tak mieszał wyrazy polskie i francuskie, że niewiadomo wkońcu, czy jest Polakiem czy Francuzem.

Józio. — Jestem Polakiem!

Wszyscy. — I my też!

Mania. — Wszyscy jesteśmy Polakami, więc musimy kochać naszą Ojczyznę Polskę i mówić dobrze po polsku. I dlatego dzisiaj, kiedy się tak cieszymy razem, zaśpiewajmy polską piosenkę i po polsku się zabawmy!

(*Śpiewają na nutę: Krakowiaka.*)

Wszyscy :

Oszczędność i praca
to ludzi wzbogaca,
— Pamiętajcie o tem,
snując myśli złote.

Mania :

Jadzie i Anielki
chcecie mieć skarb wielki,
to składajcie śmiało
w książeczkę P.K.O.

Kazio :

Leniuchem nie będę,
bo w oszczędność wierzę
— książeczkę posiędę,
będę składał szczerze.

Józio :

Epuis ja coś powiem:
niechaj iść na zdrowie,
taka piękna chwila,
co życie umiła!

Stach :

Pieniądz tylko grzeszy,
kiedy łatwo wpadnie, —
co mnie teraz cieszy,
czy kto z was odgadnie?

Wszyscy :

Dzisiaj wszyscy czują,
co nam radość nieci —
niech się więc radują
z nami polskie dzieci.
Niech się cieszą wszyscy,
dalecy i bliscy —
a głos echem bije:
P.K.O. nich żyje !

JAN CIEŚLAK.

Nauczyciel szkoły polskiej w Billy-Montigny.

PRACA I OSZCZĘDNOŚĆ

(Obrazek sceniczny ze śpiewami, w jednym akcie,
odznaczony na konkursie Banku Polska Kasa Opieki
w Paryżu.)

OSOBY : *Janek*
Franek
Stasia
Irenka
Wanda
uczniowie i uczennice lat 10—13.
Walenty, ojciec, górnik lat 35.
Marysia, żona jego, lat 30.
Zosia, ich córka, lat 5.
Stanisław, kawaler, górnik lat 22.
Józef, lat 40, górnik (pijak).
Józefowa, lat 38, jego żona.
Antoś
Ala
ich dzieci, lat 4 i 6.
Marek, lat 22, kawaler, górnik (pijak).

SCENA I.

(Z głębi sceny idą uczennice: *Stasia*, *Irenka* i *Wanda*. Za
niemi *Janek* i *Franek*. Idą ze szkoły. Dziewczęta przystają
na progu sceny.)

Stasia (jeszcze w głębi sceny, idąc). — Wiesz, Irenko, dzisiaj to mi się w szkole podobało.

Irenka. — Pani dziś bardzo dobrą była...

Stasia. — O, tak! Ja panią naszą tak bardzo kocham... Ona taką dobrą jest...

Wanda. — Wiecie co koleżanki?... — Dziś najwięcej podobała mi się w szkole pogadanka o oszczędności...

Stasia i Irenka. — Mnie też!... mnie też!... (klaszczą w dłonie).

Stasia. — Ja już od dzisiaj zacznę oszczędzać!

Irenka. — Dziś jest wypłata, to i tatuś i mamusia dadzą mi po kilka sous'ów na cukierki... Zamiast cukierków, kupię sobie skarbonkę.

Wandzia. — Ja dostanę dziś od wujka pięć franków, bo tak mi daje co wypłatę, to wnet skarbonkę zapelnię...

Stasia. — Jeszcze nie mam, ale kupię sobie taką, której nie będzie można otworzyć.

Wandzia. — Ja to już mam skarbonkę, taką, co się na kluczyk zamyka.

Irenka. — A ja, to sobie kupię taką, jak Stasia chce sobie kupić. Bo gdybym ja miała skarbonkę z kluczykiem, to nie utrzymałabym w niej pieniędzy. Czasem bowiem, to przyjdzie taka pokusa, taka chęć kupienia czegoś. A skarbonkę z kluczykiem to łatwo otworzyć, a gdy się tak często otwiera, to łatwo stracić pieniądze.

SCENA II.

(*Janek i Franek, którzy wybiegają z głębi sceny, zbliżają się do dziewcząt. Obydwaj mają torby szkolne.*)

Janek. — Wiecie co? — Franek dziś w szkole otrzymał

książeczkę oszczędnościową P.K.O.!... A ja... Ja kupilem sobie skarbonkę (pokazuje).

Wandzia, Stasia i Irenka. — Za co dostałeś książeczkę?!... Pokaż nam!...

Franek. — Chciałybyście widzieć książeczkę!... Zaraz zobaczycie... Dostałem ją za pilność w nauce. (Pokazuje książeczkę, którą wszyscy ciekawie oglądają.)

Stasia. — O! patrzcie, tu jego imię i nazwisko.

Irenka. — A tu numer 1.875.

Janek. — Patrzcie, a tu stoi napisane P.K.O.

Stasia. — A tu hasło: «pilność».

Wandzia. — Przewróć, Franku stronicę dalej. (Franek odwraca stronicę.)

Irenka. — O, patrzcie, tu ma zapisane 75 franków.

Stasia i Wandzia. — O, tak! Prawda!...

Wandzia. — Ja chciałabym też mieć taką książeczkę...

Stasia. — Zazdroszczę Frankowi.

Janek. — Mądre jesteście. Wszystkie chciałybyście otrzymać książeczki.. Bądźcie też tak pilne jak Franek. Ja mu tam nie zazdroszczę, bo wiem, że Franek zasłużył sobie.. Ja, to choćbym chciał tak pilnym być, to nie mogę. Jestem nie-uważny. Często też nie umiem lekcji, albo nie mam odrobionego zadania. Jednak i ja sobie też tyle oszczędzę, bo mój tatuś jest kupcem i dużo mi daje na stratę. Franek zaś jest sierotą, ma tylko mamusię, to mu się przyda.

Wandzia. — Ale twoja mamusia się ucieszy, prawda?...

Franek. — Dlatego też się cieszę, bo wiem, że mamusi radość sprawię!...

Janek. — Ale wiecie co? — Chodźmy domu.

(*Wychodzą przodem sceny na prawo.*)

SCENA III.

(Z głębi słychać odgłos kroków. Na scenę wchodzi Józef i Marek. Ubrania ich choć całe, lecz nie w porządku, są bez kołnierzyków, a tylko szale mają u czyj. Zamierzają wejść do banku, lecz zobaczywszy napis, cofają się.)

Marek. — Do kroćset fur beczek! — Myślałem, że to tu wódeczka... A patrz-no jaki tu napis: P.K.O. Bank!... Cofnijmy się!...

Józef — Moja stara to mi ciągle gada i wygaduje: do banku, to nic nie zanieziesz!... Ciągle chlejesz tą gorzałę!... Czasem to aż...

Marek. — Aż cię chęć bierze, może co do banku zanieść. Zanieś im swój ciężko zapracowany grosz! Dostaniesz procent!...

Józef. — Wiesz Marku, że czasem, to już mnie taka chęć brała, żeby tam co zanieść. Bo ty nie wiesz, jakie z tej racji mam kłótnie z moją starą...

Marek. — Głupis chyba jest!... Tybyś tym wydrwigroszom jeszcze twój ciężko zapracowany pieniądz zaniósł? — Co? — Ty starej chcesz słuchać? — Jej mores do twych pieniędzy. Niech będzie rada, że jej na jedzenie dasz!... Czy ty myślisz, że taki bank nie oszukuje?... A za co by ci wszyscy panowie tam żyli? — He?... Baba ci w głowie pokręciła i gotówbyś pieniądze do banku zanieść!... Jak ty babie dasz na jedzenie i trochę przyodziewku, to wystarczy!... A gdy ci jeszcze tak radzić będzie, to daj po pysku i koniec!... Choć, pociągniemy sobie... Przynajmniej co wypijesz, to masz!...

Józef. — Masz rację! — Tylko wierz mi, że niechciałbym się upić. Bo raz, kiedy to się tak strąbiłem, a była też tak jak dziś wypłata, wtedy ukradł mi ktoś pieniądze i to całą wypłatę. Sam dokładnie nie pamiętam, ale chyba całej wypłaty nie przepiłem. Wiem tylko, że kilku kolegów do domu mnie przyprowadziło.

Nazajutrz kobieta chce pieniędzy. Szukam... szukam po wszystkich kieszeniach... i nie znalazłem... Nie masz pojęcia

co się wtedy u mnie w domu działo. Istne piekło!... Stara na mnie... Dzieci też na mnie. Myślałem, że zgłupieję. Dlatego też postanowiłem nie upijać się więcej.

Wypić, to sobie jeszcze wypiję. Tego się tam nie wyrzeknę. Tylko nie chciałyby się upić.

Mark. — Ależ kolego, kilka to zawsze da się wypić. Mówię ci, że mogę wypić dwadzieścia kieliszków i nic mi nie będzie.

Józef. — Bujasz Marku. Tego ci wcale nie wierzę. Zróbmy zakład. Jeżeli to robisz, to stawiam liter czystej.

(*Wchodzą do restauracji.*)

SCENA IV.

(*Z głębi wychodzi Walenty z żoną Marysią i córką Zosią. Wszyscy ubrani czysto i przystojnie.*)

Marysia. — Ile dziś damy do banku?

Walenty. — Wypłatę dość dobrą dziś otrzymałem, więc damy sto franków. Dałoby się więcej, ale trzeba jeszcze coś niecoś kupić z odzieży, a także na życie zostawić trzeba. Zosi też trzeba kupić sukienkę...

Zosia. — Tatuś mi kupi sukienkę?...

Walenty. — Nie tatuś, ale mamusia ci ją kupi.

Zosia. — Ja chcę sukienkę z kwiatkami i fartuszek z kotkiem...

Marysia. — Dobrze, córuś kochana. Dostaniesz sukienkę z kwiatkami i fartuszek z koteczkiem.

Walenty. — Wejdzimy do banku i wpłacimy (*wchodzą*).

SCENA V.

(*W restauracji słychać śpiewy Marka i Józefa. Na scenę wchodzi podczas śpiewu Stanisław, który przysłuchuje się śpiewom z pogardą.*)

Marek i Józef (za kulisami, w restauracji).

Pije Kuba do Jakóba, Jakób do Michała.

Pijesz ty, piję ja; kompanija cała.

A kto nie wypije, tego we dwa kije:

Łupu cupu, cupu łupu, niech do dna wypije.

Józef. — Na zdrowie kolego!...

Marek. — Na zdrowie ci Józku!... Bęc!

Stanisław. — Im tam wesoło... (słucha dalej).

Marek. — Niechno tam pani postawi czyste.

Marek i Józef (śpiewają):

A jeden był za mały i tańcować mu nie dały,

więc on wziął sobie wódeczki

i wypił ze szklaneczki.

Stanisław. — Wódeczka i szklaneczka, najmilsze ich wy-
razy i najsmaczniejszy ich napój.

Od gościńca idę, gorzałeczkę niosę.

Chodź do mnie gościńca, z tobą się ucieszę.

Z tobą się ucieszę bis

Z tobą się natańczę bis

Od wieczora zacznę bis

To nad ranem skończę bis

(*Słychać śmiechy ich z restauracji.*)

Stanisław. — Poznają tam głos Józka. Co ten człowiek wyrabia. Znów całą wypłatę przepije. W domu zaś bieda... Żona i dzieci płaczą. Człowiek ten tak dobrze zarabia i tak trwoni ten pieniądz. Gdyby się dobrze gospodarzył, mógłby mieć więcej oszczędności ode mnie. Ja wiem, że go ten Marek tak do tej wódki namawia. Nikczemnik jeden.

SCENA VI.

(*Z banku wychodzą Walenty z Marysią i Zosią.*)

Stanisław. — Kogo ja widzę?... Jak się macie? (wita ich).
To niby z banku?...

Walenty. — Jak widzisz. Ale ty chyba też z banku, prawda?

Marysia. — I z pewnością ze dwa razy więcej do banku niesiesz od nas. Chciałabym wiedzieć ile to już tam masz?

Stanisław. — Pewnie, że już ładną sumkę mam. A czy to nie pracuję?... A jestem przecież kawalerem. Wstyd by mnie było, gdybym teraz nic nie zaoszczędził.

Marysia. — To chyba na żeniączkę? Prawda?... Przyznaj się...

Walenty. — A czyś to nie chłop?... Przynajmniej będziesz miał pieniądze własne na założenie swej gospodarki.

Stanisław. — I ja tak myślę. Pieniądze się zawsze przydadzą. Przynajmniej wiem na co pracuję. A w domu też nie będę teraz pieniędzy trzymał, bo to różnie bywa. A w banku są bezpieczne.

Marysia. — O tak, w domu mogą złodzieje skraść. A często teraz o nich słyhać.

Walenty. — Wielu jednak ludzi nie zdają sobie sprawy z tego. I choć często słyhać o kradzieżach, to mimo to chowają pieniąż w domu. Pieniąż ten żadnego zysku im nie daje. Żadnego też pożytku z takich pieniędzy niema. No i procenta nie rosna. Nikt z tych pieniędzy nie korzysta, chyba złodzieje.

Stanisław. — Racja! Zagadaliśmy się tak i zapomniałem całkiem wspomnieć o Marku i Józefie. Oni są napewno innego zdania od nas. Są tu (pokazuje) w restauracji. Przed chwilą śpiewali na całe gardło. Teraz jakoś ich nie słyhać. Widocznie posnęli.

Marysia. — Co?... To ten Józef co mieszka blisko nas?... Oj, straszna tam bieda jest. Biedna ta jego żona i te niewinne dzieci...

Walenty. — Nie słyhać ich jednak. Cicho się tam spruwają.

Stanisław. — Ba!... Jak mówiłem: popili się i śpią.

Walenty. — Wódka im rozum odebrała. To jest ich oszczędność!... Tam oni oszczędzają!...

Marysia. — Tak. Tylko, że takich oszczędności już więcej nie zobaczą.

Stanisław. — Co też najlepszego ta wódka zrobi. Żal mi starego Józefa. On tak dobrze zarabia i przy tym Marku wszystko przepuści. A ta jego biedna żona taką biedę cierpieć musi. Żeby jakoś nawrócić tego Józefa.

Walenty. — Jak kto woli, tak żyje. Józef z Markiem wolał restaurację i tam lokują swoje pieniądze. Ja zaś wolę P.K.O. Do tego banku mam zaufanie. Wiem, że pieniądz mi tam nie przepadnie. A owszem, oprocentuje się znacznie. Tam też nie leży pieniądz beczynnienie, lecz wiele korzyści daje Polsce.

Zosia. — Mamusiu, chodźmy już po sukienkę i fartuszek.

Stanisław. — Kiedy Zosia prosi, to i ja już was pożegnám. Wobec tego: dowidzenia. Wejdę do banku załatwić moją sprawę.

(Żegnają się. Stanisław wchodzi do banku.)

SCENA VII.

(Marysia, Walenty i Zosia skierowują się w stronę wyjścia wgląb. Zaledwie jednak uszli kilka kroków, dochodzi ich odgłos pijackiej piosenki Marka i Józefa. Przystanęli i słuchają.)

Słychać śpiew:

Pijok ty, pijok jo,
Pijokowi Pan Bóg do.
Pijmy, nie szkoda,
Bo to wódka nie woda.
Nie woda.

Marysia. — A to obrzydliwi pijacy!... Chodźmy, bo strach słuchać niegodziwców. *(Wychodzą.)*

SCENA VIII.

(Po chwili, wchodzi na scenę Józefowa z Antosiem i Alą. Wszyscy ubrani bardzo ubogo. Marek z Józefem powtarzają jeszcze raz śpiew. Józefowa z dziećmi przysłuchują się.)

Józefowa (po skończonym śpiewie, smutno). — Tak szukam mego Józefa, a on tu jest... Znów całą wypłatę przepiję!... Mój Boże!... Jak bardzo jestem nieszczęśliwą!... (Z płaczem.) Co ja biedna pocznę z temi dziećmi!... Taki to z niego ojciec... Nic o nas nie pamięta: ani o mnie, ani o dzieciach... Ile to te moje biedactwa muszą się biedy nacierpieć!... Ja wiem, że to ten zatracony Marek tak go do wódki ciągnie...

(Płacze... Marek i Józef w restauracji śpiewają):

Oj da dana, oj dadana, da na da na, oj da aa na,
oj dadana, da na da na, oj dadana, da na da na.

(Przez scenę przechodzi Janek, niosąc skarbonkę do banku.)

Józefowa (płacząc, podchodzi do drzwi restauracji, otwiera je i zagląda do wnętrza, wołając). — Józef!... Józef!... chodź do domu!...

Marek (za sceną). — Patrznoo... kolego!... Staaraa, przyszczała pooo ciebie!...

Józef. — Jooo..., zaaroozz póójde, jeno tuuu... skończymy z kooleżką.

Antoś. — Niech tata już idzie!... Tata!..., tata!...

Józef. — Niecee krzyycz taak!...

(Znowu śpiewają):

Nie pójdziemy do dom, az rano, az będzie światło,
Nie pójdziemy az rano, az będzie dzień!

Józefowa. — Józku!... Idziesz, czy nie?!... Daj mi chociaż wypłatę!... Chodźże już!... Józku!...

Antoś. — Niech tata już idzie!...

Józef (w restauracji). — Kolego... too jooo już póójde... Boo ta staara mii nicee daa spokooju.

Marek. — Noo, to ii joo z toobą teżż pójdę.

(Wychodzą Józef z Markiem z restauracji, trzymając się. Józefowa cofa się od drzwi.)

SCENA IX.

Józefowa (na stronie), — O mój Boże!... (Do Józka.) Do czegoś ty podobny Józku!.. Czy cię nie wstyd tak się upijać?... (Do Marka.) To ty pijaku niezdolny tak mi Józka buntujesz! Ty przepijasz jego i nasze pieniądze!... Jesteś złodziejem!... Rozumiesz?!...

Marek. — Złodziejemmm?... Cooo?... Jooo, złodziejem!... Ty!... (Wymierza się pięścią na Józefową).

SCENA X.

(Z banku wychodzi Stanisław, widząc, że Marek przymierza się na kobietę, chwytą go za wzniesioną rękę i odpycha go od Józefowej.)

Stanisław. — Pijaku jeden!... Mało że jej męża do pijaństwa podmawiasz, jeszcze rękę na biedną kobietę podnosisz? Bezwstydniku jeden!...

Józef (do Marka). — Uspokóój się Marku... Staachuu maa rację!...

(Marek czyni odruch opozycyjny, przybierając wrogą postać ku Stanisławowi.)

Stanisław (chwytą Marka). — Cicho bądź opilcze jeden!... Patrz co dobrego robisz!... Łajdaku jeden!... (Marek odwraca się i taczając się odchodzi w głąb.) A wy Józefie tak się dacie uwodzić takiemu młokosowi. Rodzinę zaniedbujecie!... Nie żal wam tych ciężko zapracowanych pieniędzy?...

Józef. — Staachuu ty maasz rację. Ciężżkoo zaaraacoowany grosz, taak... Wiesz Staachuu, ty jesteśś...

Józefowa. — Cicho bądź, Józku... Teraz do dajesz rację, a przed chwilą, to rację miał Marek, co?

Stanisław. — Józefie, popatrzcie tu na prawo (wskazuje bank). Tu powinniście zanosić swoje pieniądze. Tu wam nie przepadną, a owszem, suma się powiększy przez procenta.

Józefowa. — Oj, tak, tak... Ciągłe mu mówiłam, prosiłam go: nie słuchaj kolegi, nie pij!... Nic sobie z tego nie robił... Były chwile, że nie mieliśmy co do ust włożyć, bo jeśli nie przepił pieniędzy, to mu koleżki skradli. Do domu wracał pijany! Pieniądzy nie przyniósł. Ileśmy to z dziećmi wycierpieli.

Stanisław. — Nie kłopotcie się kobieto. Ja się teraz Józefem zaopiekuję. Nie pozwolę by z Markiem się schodził i zarobek przepijał. Raczej do P.K.O. go zaprowadzę.

(*Józef zataczając się, potakuje głową.*)

Stanisław (do *Józefa*). — Teraz będziecie moim kolegą, Józefie. Wszędzie we dwójkę pójdziemy: gdzie ja, tam wy.

Józef. — Kolegaa... Too sięę rozumiee.

Stanisław. — Teraz do innej knajpy chodzić będziemy. Do Pe... Ka... O!...

Józefowa. — O!... Stachu!... Jakże ja ci dziękuję, że ty mi męża nawrócisz. Żeby ci za to Pan Bóg pobłogosławił!...

Józef. — Dooo! Peee! Kaaa! Oooo!

(*Wszyscy wychodzą. Stanisław prowadzi Józefa, dzieci zaś idą przy matce.*)

SCENA XI.

Janek (wychodząc z banku, z książeczką bankową). — Zaniósłem skarbonkę i otrzymałem książeczkę P.K.O. (przygląda się książeczce).

SCENA XII.

(Z głębi wchodzi Franek, Stasia, Irenka, Wanda i podchodzą do Janka.)

Franek, Stasia, Irenka i Wanda. — Dzień dobry ci Janku!

Janek (spozrzegłszy ich). — A, to wy! Dzień dobry Wam.

Franek. — Co ja widzę! To ty już masz książeczkę P. K. O. Ale się pospieszyłeś!

Wanda. — Widział u ciebie, to też się pośpieszył...

Janek. — Ale jak widzę, to wy wszyscy do P.K.O. zdążacie.

Stasiu. — To tybyś chciał żebyś ty tylko sam posiadał książeczkę, a my to nie? Patrzcie go, jaki zazdrosny.

Janek. — Wcale nie. Cieszę się, że nas tak dużo jest, którzy rozumiemy co to jest oszczędność.

Wszystkie dzieci (wznosząc skarbonki). — Najpierw skarbonki! Do nich grosz do grosza się wkłada, aż urośnie trzosa.

Janek. — A z tym trzosem do Banku P.K.O., do Polskiej Kasy Opieki.

Janek. — Oszczędność, to początek bogactwa, to szczęśliwa przyszłość! Oszczędność jest lekarką ubogich! Oszczędność i praca narody wzbogaca!

Wszyscy. — Oszczędność i praca narody wzbogaca!

Janek. — Rodacy! Gdziekolwiek kto pracuje, zawsze ciężko pracować musi. Ciężko zapracowany grosz musi być szanowany. Nie wolno go trwonić. Trzeba oszczędzać. Lecz trzeba wiedzieć gdzie. Wielu robotników stracili swe oszczędności w niesolidnych bankach. Nam Polska z pomocą przyszła. Stworzono dla nas bank P.K.O.

Wszyscy. — Stworzono dla nas bank P.K.O.

Janek. — Polska, ojczyzna nam go dała!...

Wszyscy. — Polska, ojczyzna nam go dała!...

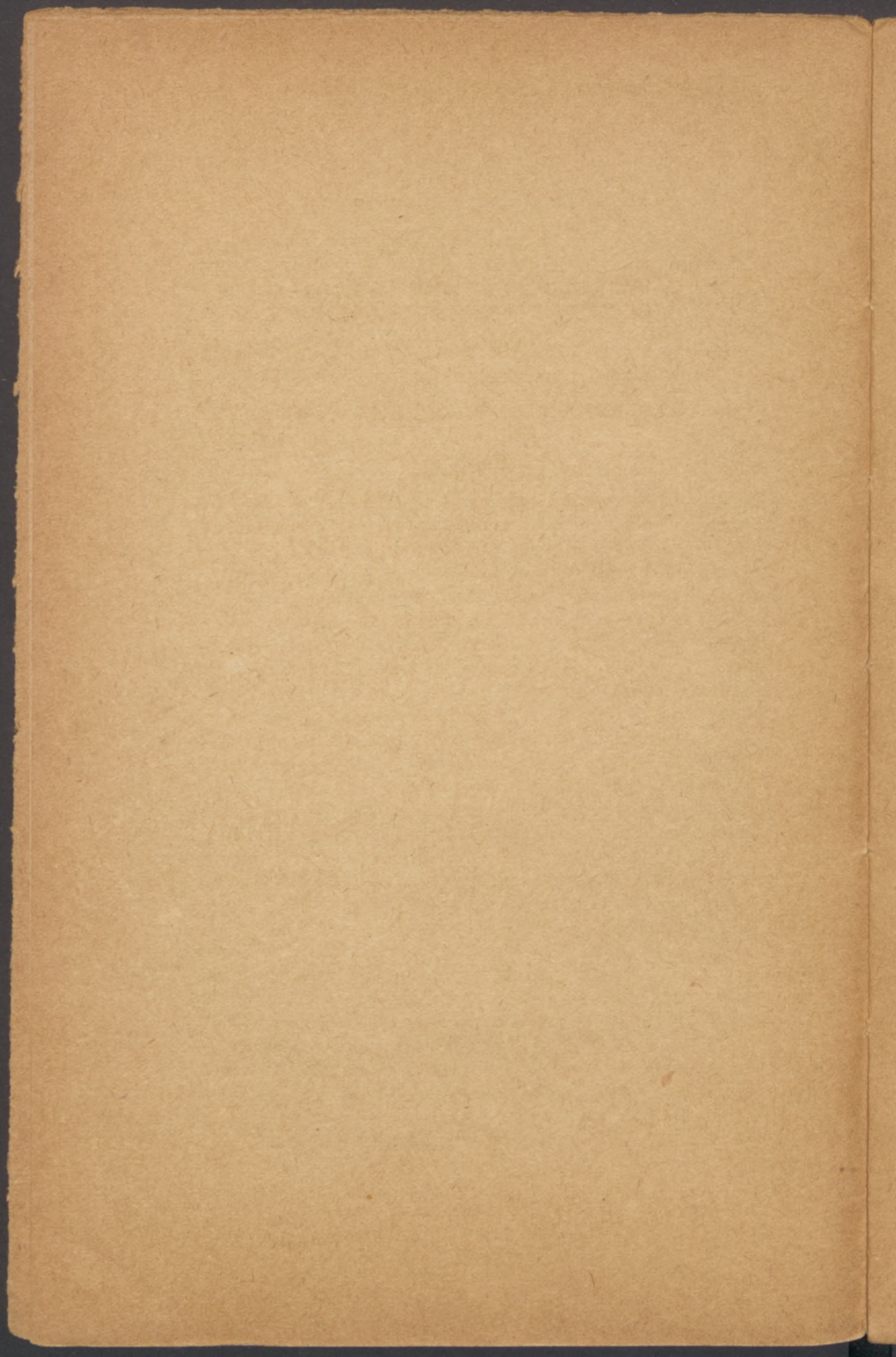
Janek. — Więc oszczędzajmy dla Polski i dla nas w
P. K. O.

Wszyscy. — Więc oszczędzajmy dla Polski i dla nas w
P. K. O.

ŚPIEW VII.

Wszyscy śpiewają chórem:

O oszczędności wciąż myśmy, w dalekiej tej krainie,
I przykład z ludu jej bierzmy, gdyż z oszczędności słynie.
Więc postanówmy sobie wraz, że dotrzymamy słowa,
I do Pe Ka O damy wczas,
Tam pieniądz się zachowa.



ROZDZIAŁ IV.

MONOLOGI I INSCENIZACJE NA TEMATY OSZCZĘDNOŚCIOWE

(do użytku dziecięcych i młodzieżowych zespołów
amatorskich)

OSZCZĘDZAJCIE W BANKU P. K. O. !

(Monolog)

(Na scenę wchodzi kobieta w średnim wieku, ubrana po wiejsku, w jednej ręce trzyma walizkę w drugiej koszyk. Rozgląda się chwilę po sali, stawia walizkę i koszyk na scenie, podchodzi ku przodowi i uśmiechając się mówi. W trakcie opowiadania odpowiednia gestykulacja).

— A dzień dobry, mili goście! Jak się macie? Zdrowicie? Bo ja, to jak widzicie i zdrowam i wesoła i zadowolona. — Widzę, żeście strasznie ciekawi skąd to przywędrowałam i czego od was chcę. — Przyjechałam z Polski w odwiedziny do siostry, a że mi tu po drodze powiedzieli, że u was uroczystość oszczędnościowa się obchodzi, więc wstąpiłam, aby wam opowiedzieć, jak my to z moim starym oszczędzaliśmy. Posłuchajcie!

— Przyjechalśmy tu do Francji będzie temu 15 lat. W Polsce mieliśmy małe gospodarstwo. Pożal się Boże, jak małe! Takie, że jak pies se usiadł na naszym podwórku, to sąsiadowe podwórko ogonem zamiatał. Nie było z czego żyć, to i pojechalim. Dzieci zostały przy babce, niby mojej matce, a najmłodsze wzięlim ze sobą. Mój, choć ta nigdy kopalni nie widziol, stanął do roboty, jak stary górnik. A zarobki były dobre! Bywało i siedemset i osiemset na wypłatę przyniesie, a cosi ze dwa razy, to mu się tak poszczęściło, że całą tysiączkę przyniósł. No, tośmy śparowali! Mój, nie pije, w karty nie gro, dobre chłopisko. — Składaliśmy w takim jakimś banku, co to niby był polski, ale ciarach to był oszust, cygan i tyła. Dość, że jakeśmy już mieli cosi ze sześć tysięcy, bestyja wzion pieniądze, i tyleś go widziol. — Napłakałam się, namartwiła, a mój stary,

to choć nigdy nie pije, upił się, że o Bożym świecie nie wiedział. Na drugi dzień powiada do mnie: — Słyszysz, matka? — nie będziemy sporować. Maciek zarobił, Maciek zjadł. Nie będę robił na cyganów i oszustów. — Dopieroż mu przekładom: ady nasza wina ześmy się lepiej nie rozpytali, co za człowiek jest, żemy mu uwierzyli, jak tak pięknie zaczął przemawiać. Oszczędzać, Wojtek, będziem, i koniec, bo pola trza przykupić. Na czemże będziem pracował jak wrócimy?

Dał se chłop przełożyć, ale ja już głupio nie byłam. Napisałam do konsulatu, do Lille, bo my w Nord pracowaliśmy, w kopalni Aniche. Zapytałam się pięknie, gdzie mi radzą pieniądze składać. Odpisali grzecznie, cosi zaraz na trzeci dzień dostałam list, że w Polsce jest tako kasa, co się nazywa P.K.O. i że tam można bezpiecznie pieniądze składać. Napisałam do P.K.O.. Na początek posłałimy 100 zł. Odpisali pięknie, zaśleli książeczkę, ale radzili, aby im tę książeczkę dać do schowania, a pieniądze dosyłać. No, tośmy książeczkę posłali dali nam kwit na to i składaliśmy spokojnie dalej. — Jakoś niedługo potem dowiadujemy się z gazet, że P.K.O. jest też w Paryżu, umyślnie dla Polaków we Francji, żeby mogli tu składać swoje grosze. Mój stary mówił, żeby przenieść się do Banku P.K.O. w Paryżu, że to niby nie będzie się tyle płaciło za przesyłkę pieniędzy. Niech ta będzie, masz racje, stary, każdego grosza szkoda.

— I co powiecie, ludzie kochani? — W zeszłym roku, jak to tak Polaków wyganiali z Francji i mój stary też stracił prace. Myślicie pewnie ześmy się bardzo martwili. — Ale gdzietam, — ja to nawet rada byłam, bo mi się ta poniewierka obrzydła. Dziewucha nam wyrosła, czas było wracać. Wróciłam. W naszej chałupie zostawiliśmy matkę, a sami kupiliśmy piękne gospodarstwo na Kujawach, bo w P.K.O. nabierało się bezmała 15 tysięcy złotych. Słyszycie? — złotych, nie franków! Gospodarka kosztowała 10 tysięcy, na zagospodarowanie wydaliśmy trzy, a reszta została na czarną godzinę, nie daj Boże, jak jakie nieszczęście by nas nawiedziło. I teraz zemnie gospodyni, że aż hej! Stary orze, sieje, dzieciśka pomagają, a ja se w chałupie gospodarze i chwalić Boga, dobrze nam. — A teraz

to choć nigdy nie pije, upił się, że o Bożym świecie nie wiedział. Na drugi dzień powiada do mnie: — Słyszysz, matka? — nie będziemy sporować. Maciek zarobił, Maciek zjadł. Nie będę robił na cyganów i oszustów. — Dopieroż mu przekładom: ady nasza wina ześmy się lepiej nie rozpytali, co za człowiek jest, żemy mu uwierzyli, jak tak pięknie zaczął przemawiać. Oszczędzać, Wojtek, będziem, i koniec, bo pola trza przykupić. Na czymże będziem pracował jak wrócimy?

Dał se chłop przełożyć, ale ja już głupio nie byłam. Napisałam do konsulatu, do Lille, bo my w Nord pracowali, w kopalni Aniche. Zapytałam się pięknie, gdzie mi radzą pieniądze składać. Odpisali grzecznie, cosi zaraz na trzeci dzień dostałam list, że w Polsce jest taka kasa, co się nazywa P.K.O. i że tam można bezpiecznie pieniądze składać. Napisałam do P.K.O.. Na początek posłałiśmy 100 zł. Odpisali pięknie, zaśłali książeczkę, ale radzili, aby im tę książeczkę dać do schowania, a pieniądze dosyłać. No, tośmy książeczkę posłali dali nam kwit na to i składaliśmy spokojnie dalej. — Jakoś niedługo potem dowiadujemy się z gazet, że P.K.O. jest też w Paryżu, umyślnie dla Polaków we Francji, żeby mogli tu składać swoje grosze. Mój stary mówił, żeby przenieść się do Banku P.K.O. w Paryżu, że to niby nie będzie się tyle płaciło za przesyłkę pieniędzy. Niech ta będzie, masz racje, stary, każdego grosza szkoda.

— I co powiecie, ludzie kochani? — W zeszłym roku, jak to tak Polaków wyganiałi z Francji i mój stary też stracił prace. Myślicie pewnie ześmy się bardzo martwili. — Ale gdzie tam, — ja to nawet rada byłam, bo mi się ta poniewierka obrzydła. Dziewucha nam wyrosła, czas było wracać. Wróciłam. W naszej chałupie zostawiliśmy matkę, a sami kupiliśmy piękne gospodarstwo na Kujawach, bo w P.K.O. nazbierało się bezmała 15 tysięcy złotych. Słyszycie? — złotych, nie franków! Gospodarka kosztowała 10 tysięcy, na zagospodarowanie wydaliśmy trzy, a reszta została na czarną godzinę, nie daj Boże, jak jakie nieszczęście by nas nawiedziło. I teraz zemnie gospodynie, że aż hej! Stary orze, sieje, dzieciśka pomagają, a ja se w chałupie gospodarze i chwalić Boga, dobrze nam. — A teraz

siostry chce ściągnąć, bo wedle nos sprzedają piękne gospodarstwo, nichby kupili, raźniejby nam było razem. No, to wam, moi mili, już wszystko dokumentnie rozpowiadała, a teraz bądźta zdrowi! — muszę lecieć, bo autobus czeka. — A to wam ino mówię: — składajcie w Banku P.K.O., słyszycie? — P. — K. — O. — (Bierze koszyk i walizkę i w pośpiechu wychodzi, wraca jeszcze i mówi). Pamiętajcie! P — K. — O. (Za sceną echo powtarza trzykrotnie coraz ciszej: P.K.O.).

I Mrówka (wchodzi)

— Śliczne, widzę, masz zapasy
Na zimowe ciężkie czasy.

II Mrówka

— Mam, dzięki Bogu, zapasik nie mały.

I Mrówka

— Zboże! to mi specjały!
Luba siostró! przyznaj przecie,
Są lepsze rzeczy na świecie.
U mnie cafe z cukru ściany,
Konfitury, marcepany,
Różne przyprawki
Do każdej potrawki.

Autor

Na to jej siostra odpowie:

II Mrówka

— Niechaj ci będzie na zdrowie!
Każdy się stara, jak może.
Miej ty sobie łakocie, dla mnie dobre zboże.
(Tu trzeba na chwilę zasunąć zasłonę)

Autor

Nadszedł wrzesień.
Wilgotna była jesień:
Częste deszcze padały.
Cukry mrówce stopniały;
Zresztą wszystko pogniło,
Nic na zimę nie było.
(Pauza)

Znowu mrówka do siostry.
A siostra w komorze.

I Mrówka (wchodzi)

— Jakżeś szczęśliwa, żeś zbierała zboże!
Znikły już moje zapasy,
A najcięższe idą czasy.

Autor

I łzami się zalała.

II Mrówka

— Nie turbuj się!

Autor

— Odpowie siostrunia wspaniała.

II Mrówka

— Będzie tu i dla ciebie; ale od tej chwili
Rozważ i poznaj, że ci nie błędzili,
Co pozostając na prostych tylko darach nieba,
Zbierali, co dla życia koniecznie potrzeba.

**WŚRÓD LEŚNYCH NOWOŚCI
KONKURS OSZCZĘDNOŚCI**

(Inscenizacja)

(Tło: Izba, albo na tle firanki białej lub szarej. Stoi kilka wielkich, wypchanych worów z szarego płótna. Mrówka siedzi przy nich na stołku. Ubrania mrówek czarne, czepce białe. II mrówka w białym fartuchu. Konik polny — ubranie zielone, dziewczęce lub chłopięce; mandolina przewieszona przez ramię).

Chór leśnych duszków

W ciemnym lesie echo niesie
przedziwne nowości,
że niedługo już nadejdzie
Święto Oszczędności.

Jeden z duszków

Naradzają się zwierzęta,
jak ten dzień świętować.
Starą sowę od myślenia
rozbolała głowa
(sowa pokazuje jak ją boli głowa)
Stuknął dzięcioł dziobem
w korę.

Dzięcioł

Posłuchajcie chwilę,
trza ogłosić Wielki Konkurs —

wzdłuż, wszere — cztery mile,
Do Konkursu Oszczędności
niechaj kto chce stanie,
a w nagrodę wieniec z liści
dębowych dostanie.
Wieniec z dębu zielonego,
order z jarzębiny.
Sroki, kawki, o Konkursie
nieście w świat nowiny!

Duszki leśne

Hej, stanęła do Konkursu
setka stworzeń prawie,
i te z pola, i te z łąki,
i te co nad stawem.
A gdy nadszedł dzień czekany...

2 duszek

Kto tylko mógł, przyszedł,
Kogoż, kogo — Konkursowy wyróżni Komitet!

3 duszek

Zasiadły w nim mądre sowy,
dzieciół przewodniczył.
Przedem wszystkim konkursistów
według listy liczył (dzieciół liczy, stukając dziobem).

4 duszek

Potem kazał opowiadać
kto oszczędzał, ile,
w jakim czasie, czy z łatwością,
czy miał ciężkie chwile.

Duszki leśne

Wystąpiły polne pszczoły, (wybiegają 2 pszczołki)
wystąpiły leśne,

wystąpiły czarne mrówki (jedna mrówka)
prawie jednocześnie.
Jeż wystąpił, stanął z boku
bardzo był nieśmiały (pokazuje się jeż)
aż się z niego szare myszki
trochę wysmiewały.
Chomik głośno opowiada
co to ma w śpiżarni,
kret się chwalił, a wychwalał
jaki gospodarny.
jaki gospodarny.
A wiewiórka na ostatku (wybiega wiewiórka)
przemówiła skromnie:

Wiewiórka

Tutaj blisko me śpiżarnie, proszę zajrzeć do mnie.

Duszki leśne

Więc Komitet, że to trzeba
z badać rzecz uczciwie,
od śpiżarni do śpiżarni
przechodził cierpliwie.
Potem trwało obliczanie
całe pół godziny.
Potem dzięcioł stuknął dziobem
i ogłosił wynik:

Dzięcioł

Że najwięcej, najoszczędniej
zebrała wiewiórka,
że w śpiżarniach worki szynek
i orzechów górka,
że zapasów różność
i pierwszej jakości (dzięcioł dekoruje wiewiórkę)
więc nagroda jej przypada
w tym Dniu Oszczędności.

Duszki

Wiewióreczka, bardzo skromna,
splonęła rumieńcem,
gdy ją dzieciół dekorował
dębinowym wieńcem.
Wkońcu wszyscy na polanie
wzniesli okrzyk chórem:
Niechaj żyje ród oszczędnych
gospodyń wiewiórek (wszyscy krzyczą).

Polny konik

A j a mały, polny konik
zalewam się łzami,
bo nie mnie obdarzono
dębem, koralami.
Ja także chciałem oszczędzać (polny konik płacze).

Jeden z duszków

Miał zamiary szczerze:
myślał sobie, ładny będę
w wieńcu z orderem.
Ale ciągle oszczędzanie
do jutra odkładał.
Teraz pustą ma śpiżarnię,
płacze, trudna rada...

Dzieciół

Konikowi trudno radzić
lecz innym dam radę:
idźcie zawsze za skrzętnisi
wiewiórki przykładem.

ROZDZIAŁ V.

DEKLAMACJE I PIOSENKI OSZCZĘDNOŚCIOWE

(do użytku dzieci i młodzieży, występujących na uroczystościach oszczędnościowych)

SKARBONKA

Nie jestem wcale kutwa,
nie jestem wcale sknera,
choć sous'y otrzymane
skrzętnie i pilnie zbieram.

Nie gubię mych ołówków,
stałówki ni obsadek,
a wszystkie oszczędności
tu, do skarbonki kładę.

W kochanym naszym domu
pieniędzy nie ma wiele,
więc — co uskładam sobie,
rozsądnie chcę podzielić.

Dla siebie kupię książkę,
niebieski szal dla Zochy,
mamus! zaś na «gwiazdkę»
ciepluśkie dam pończochy.

Cukierków jadam mało,
nie gubię mych obsadek.
Na te ważniejsze rzeczy
pieniądze w puszkę kładę.

SZPAK I WIEWIÓRKA

Szpak miał się za mądrego, bo słyszał od ludzi
że «szpakami karmiony» podziw wśród nich budzi
— Jeśli tak — myślał szpaczek — to któż mi zabroni
wziąć berło Króla Zwierząt i trzymać je w dłoni.
To rzekłszy, nadał dumnie swoje szare piórka,
i spoglądał z pogardą, jak ruda wiewiórka,
zamiast spędzać wesoło swe letnie wywczasy,
robiła z ziarn i szyszek na ziemię zapasy.
— Patrz na mnie! — krzyknął szpaczek — choć nie jestem
w futrze,

nie myślę nic o zimie, a nawet o jutrze....!
Nic nie rzekła wiewiórka, ale robiąc swoje,
pomyślała: ja zaciążę w mróz swoją osobą,
ale nie jestem pewna, co się stanie z tobą.

Przyszedł styczeń. Mróz objął cały świat w okowy,
o znalezieniu ziarnka nie było już mowy,
lecz wiewiórka w swym drzewie od mrozów zakrytym,
zebrane latem ziarnka jadła z apetytem.
Raptem puk — puk. Ktoś puka. Kto tam? To ja szpaczek.
Patrzy wiewiórka stoi ptaszek — nieboraczek,
chudy, smutny, przemarzły i głodny zapewne,
wygłasza do wiewiórki przemówienie rzewne,
ufa, że da mu ziarenek, że go nie wyrzuci,
że on — szpaczek — pożyczkę wraz z procentem zwróci...
Choć zła była wiewiórka i twarda jak skała,
póty prosił ją szpaczek aż mu ziarenek dała.
Z tej powiastki wywodzi się nauka taka:
naśladujmy wiewiórkę, a nie tego szpaka,
a nie jeden lekkoduch nie pamięta na to,
że nie będzie jadł zimą, kto nie zbierał w lato.

Tadeusz Stach.

TRZA OSZCZĘDZAĆ !

Trza oszczędzać dla swobody,
Człowiek zawsze nie jest młody.
Oszczędzać każdy z nas musi,
Ażeby ulżyć mamusi,
Ale też oszczędzać trzeba,
By nam nie zabrakło chleba.

Owady też oszczędzają,
Zapas na zimę składają.
Mrówka, chociaż maluteczka,
Pracowita jak mateczka.
Duży dom sobie buduje,
No i w nocy go pilnuje.

Zanim jesień przyjdzie do nas,
Rzeknie pszczółka jeszcze do was:
Ul napełnię aż po brzegi,
Bo i mrozek będzie srogi.
Wtedy trudno, moje dzieci,
I na łąkach szukać kwieci.

Pszczółka w locie miód zajada,
Ale i na zimę składa.
Owady nam przykład dają,
Do współpracy nas wciągają,
A wytrwałość, mózół wielki,
Dobrobytek da nam wszelki.

Nic niema przecież bez wytrwałości,
Bez niej nie zaznasz słodkości.

Razem dzieci wszystkie społem,
Złączmy się przy P. K. O. kołem.
Choć trudno — naprzód, oszczędzajcie,
I do P.K.O. składajcie.

Ile kto może, nawet santima,
Składać winniśmy rączkami obiema,

Tylko musimy stale i mocno chcieć,
A książeczki P.K.O. będziemy mieć!
Stasia BEREJÓWNA,

11 lat, uczennica szkoły polskiej w Vesines-Chalette
par Montargis (Loiret).

DWA ZIARNA

Zapadła noc lipcowa gorąca i parna,
gdy na rżysku szeptały tak pszeniczne ziarna.
— «Co za przełom, tak dumnie stały nasze kłosa,
nim je podcięły rano dziś żniwiarze kosy.
Teraz, gdy tylko który z kłosa nie wypadnie,
zwiążą nas do stodoły, gdzie będzie tak ładnie,
potem nas na klepisku rozwiążą i rzucą,
a w końcu, wysuszywszy dokładnie — wymłócą».
A na to jedno ziarnko krzyknęło: «ja wolę
zostać tutaj» — i z kłosa wypadło na pole.
«Tu przecież wietrzyk mamy i pogodę cudną,
a w stodole, czy spichrzu i ciemno i nudno».
Lecz pozostałe w kłosie, te cięższe i lepsze
odparły: «Dowidzenia — was zećpają wieprze,
wróble zjedzą, lub wiatr was po świecie rozwichrzy,
my, na pożytek ludzi, pójdziemy do śpichrza».

T. STACH.

KULA I KROPLE

Młody chłopiec z floweru strzelał do kamienia,
aby sprawdzić, czy kamień od kuli się zmienia.
Lecz kamień, jak to kamień, był twardy z zasady
i miał od kul na sobie ledwie słabe ślady.
Spostrzegł chłopca dziadunio i wzięwszy pod rękę

prowadzi w węgiel domu pod omszałą wnękę,
gdzie w kamieniu był otwór od wody spod rynny
i widząc, że wyraża wnuk zachwyty dziecinny,
mówi: «nie dziw się temu, jak ja się nie dziwię —
kamień żłobiły krople padając cierpliwie».

T. STACH.

ŻOŁNIERSKA PIOSENKA P.K.O.

(tekst piosenki śpiewa jedna osoba, przybrana za żołnierza polskiego, reszta chóru również przybrana odpowiada mu przyspiewując).

Kiedym w domu był na święta,
Hej siup — hopaj da,
Wychwalały mnie dziewczęta
Bum cyk, bum ta dra.
Śliczny żołnierz, o hoho,
Mądry — oj to to.
Ma książeczkę w P.K.O.
P.K.O.

Każdej z nich się coś podoba,
Hej siup — hopaj da,
Tej mój mundur, tej osoba.
Bum cyk — bumsta dra.
Ale wszystkim — oho ho,
Ta książeczka P.K.O.
P.K.O.

Jedna tylko Hania skromnie,
Hej siup — hopaj da.
Z boczką się uśmiecha do mnie.
Bum cyk — bumsta dra.
Nie wspomina — oho ho,
Nic, nic — oj to to,
O książeczce P.K.O.
P.K.O.

Serce zato oddam Hani,
Hej siup — hopaj da.
W korcu maku-śmy dobrani,
Bum cyk — bumsta dra.
Bo i ona, oho ho,
Ma książeczkę P.K.O.
P.K.O.

Zaprosim na weselisko,
Hej siup — hopaj da,
Samo szczęście w chatę niską.
Bum cyk — bumsta dra.
Przez tę miłość — oho ho,
Przez nią — oj to to,
Przez książeczkę P.K.O.
P.K.O.

Za rok, za dwa, albo za trzy,
Hej siup — hopaj da.
Gospodarstwo jak się patrzy,
Bum cyk — bumsta dra,
Mieć będziemy, oho, ho,
Wielkie — oj to to,
Z tych książeczek P.K.O.
P.K.O.

Jak nam Pan Bóg da gotówkę,
Hej siup — hopaj da.
Czy za byczka, czy za krówkę,
Bum cyk — bumsta dra!
Odłożymy — oho ho,
Na książeczkę P.K.O.
P.K.O.

Jak naznosi dzieci bociek,
Hej siup — hopaj da.
Będziem w domu mieć sto pociech,
Bum cyk — bumsta dra.
Z sześciu synów — oho ho!

Tęgich — oj to to!
I z tych książeczek P.K.O.
P.K.O.

A jak siódmy syn się rodzi,
Hej siup hopaj da.
Pan Prezydent nas nagrodzi,
Bum cyk — bumsta dra.
Za starania — oho ho!
Hojnie, — oj to to,
Też książeczką P.K.O.
P.K.O.

JAK PANI MYSZ MĘŻA ROZUMU NAUCZYŁA

Nie trzeba być wcale człowiekiem,
Żeby z życiem się chwytać za bary.
Mało komu wszak miodem i mlekiem
Płynną dni jednostajne i szare.

W polu, w lesie, w stodole, czy w śpichrzu,
W stajni nawet, w spiżarni, czy gumnie,
W wielkim dworze, w folwarku najlichszym
Życ należy oszczędnie, rozumnie.

Bo cóż ztego, że się małą jest myszą?
Czyżby walczyć łżej było i łatwiej?
Wielkie troski nad łebkiem jej wiszą, —
Ileż pracy, by nastraszyć dziatwie!

Pani Puszek ma męża leniucha,
Cały dzień słucha świerszczów muzyki,
A powiedzieć mu co to wybucha
I wąsami porusza, jak dziki.

Mąż jest wałkoń — powraca z koncertu
I jeść woła i kręci ogonem,
I wydziwia, że trwardy jest ser tu
I że żyto mu nie jest zmielone.

Tak jest w lecie, gdy jeszcze nie trudno
Tu coś urwać, tam skrobnąć, tam zwędzić.
Pani Puszek dogadza mężowi,
Ale łapka, ta prawa, ją śwędzi...

Pani Puszek pracuje zawzięcie
Całą noc i lato i jesień,
A pan Puszek powszedni dzień święci
Artystycznych pełen uniesień!

Już na polach złocą się rżyska,
Już purpurą goreją drzew liście.
Mysie serca troska uciska, —
Pani Puszek pracuje siarczyście.

Łapką w łebek stuknęła się chwacko: —
Starczy w zimie dla całej rodziny!
Drugą norkę urządzi, jak cacko,
Pod korzeniem spróchniałej wierzby.

W dzień przynosi, jak zwykle potrochu:
Kłosek żyta, pszenicy, garść maku,
Kilka ziarenek gorczycy, dwa grochu,
No, i trochę słoninki dla smaku.

W nocy znowu, w największym sekrecie,
Niby że to ją dręczy bezsenność,
Szarym cieniem się snuje po świecie.
Z pól zbierając jesienne lenno.

Mdleją łapki, zmęczone kopaniem,
Oczy piasek wyżera i łzawi,
Lecz pracować nie prędzej przestanie,
Aż jutrzienka na niebie się zjawi.

Dwa tygodnie trwała budowa!
Styl? — Dowolny, lecz pełen wygód. —
Tu pszenicę złocistą schowa
Przed małżonkiem, żarłocznym wygą.

Tu znów będzie śpizarnia na grykę,
Tam się grochu nasypie pod pułap,
Tam na prawo młóconą wykę,
Którą lubi mąż — safandufa....

Żytko będzie w piwnicy na prawo,
A słonina w śpizarni z przewiewem.
Tak planuje, pracując krwawo
Pod spróchniałym, wierzbowym drzewem.

Aż zjawiły się pierwsze szrony,
Pani Puszek zwinęła ogonek
Chłodnym powiał wiatr — oczajdusza.
I z mieszkania się więcej nie rusza.

Przyszły śniegi. Aż piszczy pan Puszek!
Tagi głodny! Wybuchnąłby wrzaskiem...
A tu żona zaciska mu brzuszek
Uplecionym ze słomy paskiem! —

«Kto przez lato uprawiał wagary,
«Niech teraz zaciśnie pasa,
«Trzeba cierpieć w zimie, mój stary,
«Jak się wiosną po łąkach hasa!»

«Zapnij pasek na piątą dziureczkę
«I na koncert idź, jeśli łaska».
Próżno Puszek wykrzywia mordeczkę
I na widok słoninki mlaska.

Próżno łapki wyciąga i prosi.
Bez litości jest mysia mama.
Po trzy ziarnka pszenicy mu znosi,
Resztek z dziećmi zjada sama...

I zrozumiał pan Puszek, że jednak
Nie podoła nikt żyć bez pracy
Człowiek, ptaszek, czy myszka biedna,
Wobec życia wszyscy jednacy.

I podniósłszy do góry pazurek
Przyrzekł żonie stanowczą poprawę:
Żyta zebrać na przyszły rok — furę
A po pracy iść na zabawę.

IRENA MACIEJEWSKA

ur. w r. 1925 we Francji

DLACZEGO POWINNAM OSZCZĘDZAĆ ?

(Wiersz odznaczony trzecią nagrodą na Konkursie
Rady Porozumiewawczej)

Bo oszczędzać daje nam życie i zdrowie
I nas wspomaga w troskach w chorobie.
Oszczędność ludzi uszlachetnia, wzbogaca,
Nigdy nie zdaje się przykra nam praca.

Jestem jeszcze mała, a różne projekty już snuję,
Że gdy dorosnę, trochę pieniędzy uciuję,
Bo gdyby w życiu zaszyły przykrości
Pomogą dużo me oszczędności.

Jak nam stare przysłowie dyktuje:
Kto za młodu oszczędza, ten na starość nie żałuje!
Rodzice moi żyją w zgodzie i w miłości,
Zawdzięczać to mogą tylko oszczędności.

I wierzaj mi, ludku drogi
Iż nigdy nie będzie z nas nikt ubogi,
A gdy doczekasz się czulej starości
Opiekę będziesz miał
W Polskiej Kasie Oszczędności.

PAWEŁ I GAWEŁ

Paweł i Gaweł mają blisko chaty,
I choć są braćmi — różne dzielą losy;
Paweł jest biedny, a Gaweł bogaty,
Paweł ma długie, Gaweł — bujne włosy.

Skąd ta różnica — zapytasz, sąsiedzie,
Czemu to nie ma równości wśród braci.
Dlaczego Paweł pędzi życie w biedzie,
Zaś Gaweł z roku na rok się bogaci...

Szkodaby nad tym głowę łamać, kumie,
Kiedy mam prosty sposób dla sąsiada:
Paweł zarobków oszczędzać nie umie,
Gaweł zaś grosze do P.K.O. składa!

NOWY KRAKOWIACZEK

Krakowiaczek jeden
Miał koników siedem.
Nazywał się Maciej,
Miał dostatek w chacie.
Wielką miał zagrodę,
A w niej liczną trzodę,
I ptactwa bez liku,
Także miał w kurniku.
Miał też dużo żyta,
Zawsze jadł do syta,
Piękną miał sukmanę,
Spodnie haftowane.
Krakowiaczku powiedz,
Skąd masz tyle owiec.
I co robić trzeba,
By nie brakło chleba.
Maciek odpowiada:
Prosta to rada —

Nigdy człek nie biada,
Gdy grosiki składa!
A gdy mądrze złoży,
To wnet je pomnoży,
Hejże zatem śmiało —
Śpieszmy do P.K.O.!

OD DZIŚ ZACZNIEMY

W myślach, pragnieniach — budujemy mnóstwo!
zwiedzamy obce, wabiące nas kraje,
gdy się ockniemy — codziennie ubóstwo
dniem — strąca z wyżyn, nocą spać nie daje . . .

Załamujemy więc, z rozpaczy, ręce,
szukamy trwożni dookoła winy,
nie wiedząc, czemu zapobiec tej męce,
jakie są zmartwień i udręk przyczyny.

Otóż w nas samych tkwi bakcyl choroby.
Myślmy o jutrze! Oszczędzajmy grosze!
grosze, złotówki — oto są sposoby,
aby na lepszy zmienić los potrosze!

Od dziś zaczniemy składać do P.K.O.!
ile się uda — choćby małe sumy.
One urosną! stworzą przyszłość całą
godną usługi i szlachetnej dumy!

ROZDZIAŁ VI.

**NAPISY PROPAGANDOWE
NA TEMATY OSZCZĘDNOŚCIOWE**

(dla udekorowania sali podczas obchodów
oszczędnościowych)

Dobrze zrozumiana oszczędność polega na tym, by zamiast czynienia wydatków zbędnych, tworzyć sobie fundusz na przyszłe i konieczne.

Dr. Henryk Gruber
prezes P. K. O.

*
**

Każdy dzień jest budowniczym albo burzycielem przyszłości. Co dzisiaj posiejecie, to w jesieni żywota będziecie zbierać.

*
**

Kto żyje bez rachunku — umiera bez pogrzebu!

*
**

Grosz trzy razy obejrzyj — nim go wydasz!

*
**

Co za młodu oszczędzisz — na starość jak znajdziesz!

*
**

Ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka!

*
**

Czem skorupka nasiąknie za młodu, tem na starość trąci!

Naród, w którym oszczędzanie stało się przyzwyczajeniem
każdego obywatela, buduje swe gospodarstwo na najtrwał-
szym fundamencie.

J. Mościcki.

*
**

Łatwiej jest zarobić pieniądze, niż je zachować!

*
**

Co zdobyłeś z trudem — oszczędzaj z rozważą!

*
**

Oszczędzajcie choć po 5 centymów, ale codziennie!

*
**

Kto się z groszem nie liczy, tego bieda wyćwiczy!

*
**

Kto przestrzega oszczędności, ma dla siebie i dla gości.

*
**

Chowaj grosiny na czarne godziny!

*
**

Zawczasu uczmy się oszczędzać, aby można będzie i nę-
dzę odpędzać!

*
**

Złotówki są z groszy — ze złotych trzasy!

*
**

Dobrobyt kraju zależy od pracy i oszczędności jednostek.

*
**

«Od Alp wyniosłych po Oceanu fale
Jedna króluje wszędzie dziś zasada
Ten się bogaci, kto oszczędza stale
I franki do Banku P.K.O. składa».

Przez oszczędność, z nędzy — do pieniędzy!

*
**

Temu, kto oszczędza, nie zajrzy w oczy nędza!

*
**

Oszczędność buduje, rozrzutność rujnuje!

*
**

Grosz do grosza, a będzie kokosza!

*
**

Nie kto ma złoto, ma perły, ma szaty,
Ale kto na swym przestał, ten bogaty.

Jan Kochanowski.

*
**

Oszczędzać — to mądrze gromadzić i mądrze używać!

*
**

Gromadźmy w Banku Polska Kasa Opieki wszystkie pieniądze, leżące bezużytecznie w kieszeniach, a podniesiemy dobrobyt całego społeczeństwa.

*
**

Największą intratą — oszczędność.

*
**

Nie rychła na schyłku oszczędność.

*
**

Kto nieoszczędza swego, mniej jeszcze będzie cudzego.

*
**

Nie wczas oszczędzamy, gdy dna dobieramy.

*
**

Gdzie praca, oszczędność na straży, tam się bieda wejść nie waży.

Pierwszy szeląg schowany, co się w grosz pomnożył, ten
grunt milionowej fortuny założył.

Krasiński.

*
**

Ucieka nędza przed tym, kto oszczędza, ale kto trwoni
rychło ją dogoni.

*
**

Nie chowaj w pończosze, bo ci skradną grosze!

*
**

«Trzeba urządzić te wszystkie sposoby, trzeba otworzyć
te wszystkie źródła, z którychby, stosownie do granicznych
mocarstw, powstawała w Polsce ludność i pieniędzy masa».

Ks. Stanisław Staszic
(Prestrogi dla Polski)

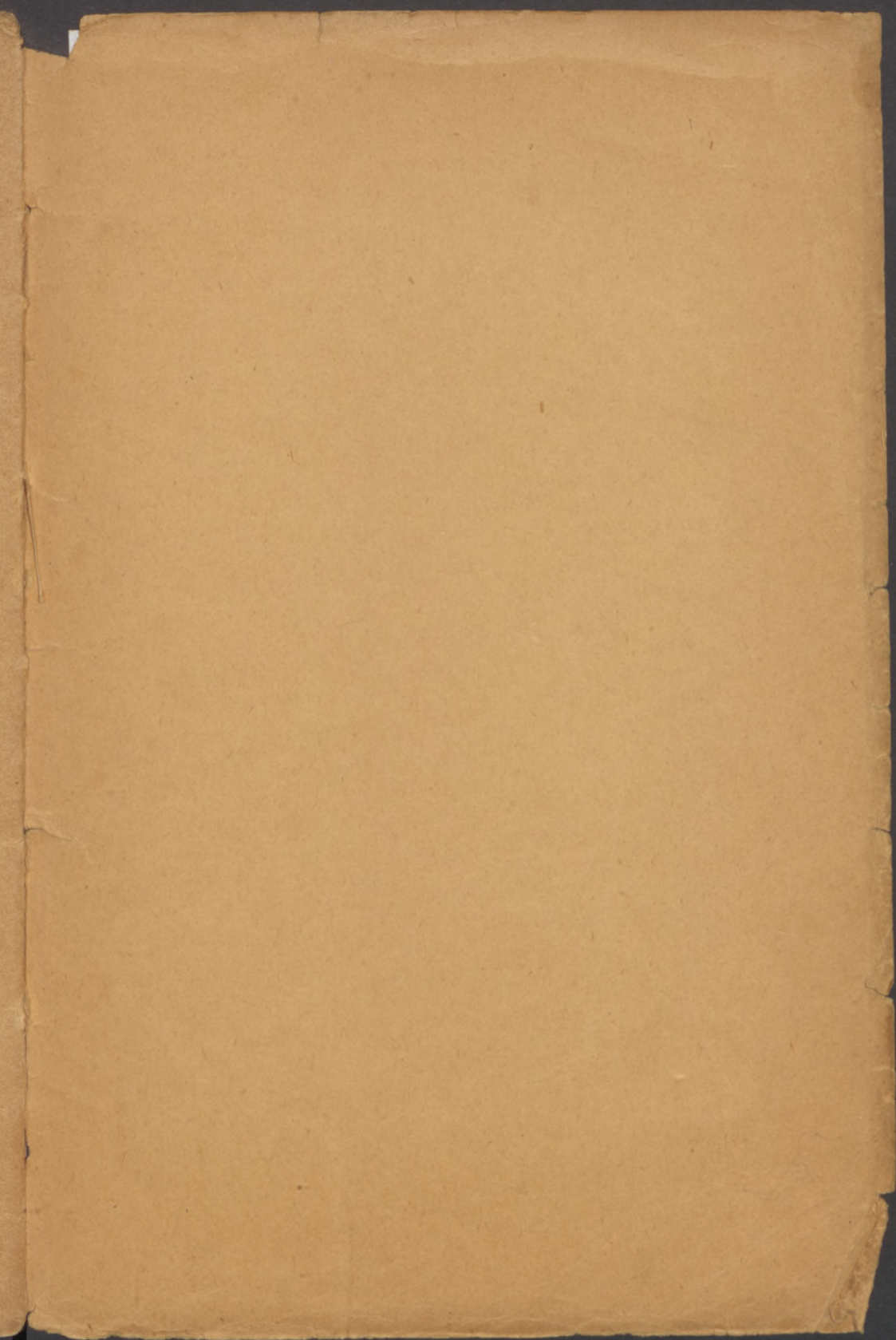
*
**

Dziwisz się, że po śmierci mała nasza cnota, ma rosnąć w
szczęście, przez przeciąg własnego żywota. Nie dziwisz się,
że jeden grosz w banku złożony za kilka wieków może zro-
bić miliony.

Adam Mickiewicz.

Imp. S.N.I.E., Paris





Arch. Emigracji

Biblioteka

Główna

UMK Toruń

1393372

Biblioteka Główna UMK



300020981858